

MACKI
SCHRÖDINGERA

WIKTOR
HAJDENRAJCH

MACKI
SCHRÖDINGERA

HOID.PL



CZEKAM...

MACKI SCHRÖDINGERA



OD AUTORA7
I. PRELUDIUM.11
II.17
III.33
IV.61
V.81
VI.91
VII. INTERLUDIUM 1.109
VIII.115
IX.143
X. INTERLUDIUM 2.159
XI.165
XII.197
XIII. QUASI INTERLUDIUM 3.209
XIV. OKIEŁZNIANIE OSOBLIWOŚCI.249
XV. INTERLUDIUM 4.335
XVI. KRÓLEWSKA AKADEMIA NAUK337
XVII. POWRÓT.355
XVIII. KRAJOBRAZ PO...425

OD AUTORA



MAJU 1984 ROKU, po przeczytaniu książki *Zew Cthulhu* Lovecrafta, przeżyłem rodzaj załamania. Zacząłem się najzwyczajniej bać. Wyobraźnia, uruchomiona przez *trigger* o nazwie *Cthulhu*, podsuwała mi gotowe obrazy z powieści. Za oknem śpiewały lelki kozodoje (one nie gniazdują w Olsztynie...), w lesie widziałem Czarną Kozę, a Łyną płynęły ciała potworów. Po głowie, zaprzątniętej wtedy pracą magisterską z dziedziny separacji gryki, w miejsce opisu ruchu nasiona na taśmie gumowej za pomocą rachunku różniczkowego, weszły obrazy z powieści. Nigdy wcześniej żadna z przeczytanych książek, nawet *Piknik na skraju drogi* Strugackich, nie wywarła na mnie tak piorunującego wrażenia. Upłynął czas. Siła rażenia Lovecrafta nieco zmalała, ale fascynacja pozostała.

Fenomen Lovecrafta i jego kultu *Cthulhu* polega chyba na pewnej prostocie oddziaływania i uruchamianiu ukrytych głęboko strachów i obaw, zepchniętych do podświadomości, przykrytych racjonalizmem, ale ciągle pulsujących i próbujących wydobyć się na powierzchnię. Ja wtedy, w maju 1984 roku, irracjonalnie się bałem. To było silne, dojmujące uczucie, z którym zupełnie nie wiedziałem, co robić, ale miałem wrażenie, że siedziało we mnie już wcześniej.

Chciałem też, żeby ta książka była hołdem dla kobiet, które w powieści są PARTNERKAMI facetów, zawsze na równych zasadach. Bo tylko takie uporządkowanie świata może go ocalić przed

nieuchronną zagładą, w którą wpędzą nas w końcu ci durnie i ignoranci, nienasyчени żądzą władzy.

Macki Schrödingera to ostrzeżenie. Głupcy, których ludzie wybierają do tak zwanej „władzy”, po przekroczeniu Rubikonu potwierdzenia, że zostali wybrani, nagle dostają ze swojego osobliwego nieba impuls, który w ich własnych oczach czyni ich wszechmądrymi. W rzeczywistości zawsze byli, są i pozostaną głupcami, ignorantami, pasożytami, ale mają w ręku narzędzia, które sami im dajemy: aparat przymusu oraz aparat prawodawczy. I doskonale o tym wiedząc, mogą dowolnie łamać wszelkie reguły, łącznie z prawami fizyki, bo ich, „wybrańców”, one nie dotyczą. I gdyby robili to jedynie na własny użytek, to nawet niech pozdychają, kilku głupców mniej na świecie. Oni, niestety, robią to kosztem mojego bezpieczeństwa, mojego zdrowia i w końcu życia.



*TO BYŁO SILNE, DOJMUJĄCE UCZUCIE,
Z KTÓRYM ZUPEŁNIE NIE WIEDZIAŁEM,
CO ROBIĆ...*

I.

PRELUDIUM.



SIEDZĘ ZAMKNIĘTY w domu, przesuwając się między pokojami, między sypialnią a kuchnią, salonem a WC, zawsze najpierw sprawdzając, czy korytarz jest czysty, czy nie ma na nim czegoś nieznanego, wcześniej niewidzianego, nie wiem, kawałka dykty, oderwanego gniazdka, zniszczonego buta, który nie wiadomo czemu akurat znalazł się na środku taniego czerwonego chodnika, wyrwanej strony z gazety. Wszystko może mieć znaczenie, każda inność, każda zmiana może być początkiem zupełnie nieznanymi procesów, zdarzeń, które tylko czekają, by zająć swoje miejsce w strumieniu czasu i by zrealizować to wszystko, co w tak niespodziewany dla mnie samego sposób odkryłem.

Z dnia na dzień jestem coraz bardziej zmęczony. Paniczny, wypełniający i mnie, i wszystkie pokoje w domu strach pierwszych dni, zmienił się w ten rodzaj obojętności, która szepcze do ucha: Niech to się już stanie! Niech się rozwinie, niech coś się wyjaśni. Nie lubię uczucia suchości w ustach, a ono ciągle mi towarzyszy. Nie znoszę drżenia rąk – a one trzepocą jak liście osiki. Wiem, że się boję. Wiem, że pozorna obojętność to tylko reakcja organizmu na wszechobecny strach, białą ścianę przed oczyma, gdy w czasie powrotu z miasteczka S w punktach węzłowych – są trzy na całej trasie, do wtedy nie wierzyłem, że w ogóle one są, na Ziemi, bo w Kosmosie gdzieś daleko mogą sobie być, moja chata z kraja, są aż trzy na odcinku czterdziestu

kilometrów, nie do wiary, nie rozumiecie, trzy węzły – pojawiły się zapomniane obrazy, postacie, zdarzenia. Pojawiły się i zniknęły, nagle, nie jak w tanim filmie z efektami specjalnymi, rozmywając się i niknąc w przestrzeni. Mignęły, błysnęły synchronicznie, jedno po drugim, zbyt krótko, by przestraszyć na poziomie świadomym, ale i wystarczająco długo, by zapadły głęboko. Wychodziły razem podczas mijania nowego węzła. Wyglądało to, jakby ktoś w mojej głowie sklejał kawałki filmu *non camera*, rzucone obrazy, niedbałe, niechlujne, ale jednak wyraźne i składające się w historię, której znaczenia powoli zaczynam się domyślać.

Nie, jestem zdrowy na umyśle. Myślę jasno i precyzyjnie, ot, na przykład wiem, że dziś jest środa, piąty dzień mojego odosobnienia, piąty dzień, gdy odrzucam wszystkie próby kontaktu. Dzwoniący zupełnie nie zdają sobie sprawy, że jeśli odbiorę...

Ale nie. Nie wiem, co się stanie. Przypuszczam, że ten, kto do mnie zadzwoni, wejdzie w ciąg jako część postępu zdarzeń. Tak może być, ale nie musi, na razie swoimi odkryciami nie dzieliłem się z nikim, nawet z Grzegorzem, ale z nim nie musiałem, wiedział wszystko. Te kilka listów, które napisałem do profesora M. w mieście N., po prostu musiałem napisać. Zbyt mało wiedziałem. Zbyt mało wiedział Grzegorz. Zbyt płytkie i poszarpane były archiwa, i te w S., i te w G., ale i te kościelne, w P. i w O., gdzie spod wieluset kilogramów różnej makulatury wygrzebałem manuskrypty, które przed okazaniem archiwistom na wszelki wypadek sfotografowałem. Przeworność okazała się niepotrzebna, wykształceni historycy w sutannach z niesmakiem spoglądali na rękopisy, chwilę się w nie powpatrywali i orzekli, jeden niezależnie od drugiego, że nie są nic warte i że to prawdopodobnie jakieś podróbki. Leżały w makulaturze, więc poprzednicy tak je pewnie zakwalifikowali. Niewiele wtedy wiedziałem, ale intuicja podszeptęła mi, żeby ich ze sobą nie brać, zostawić, w dowolnej postaci, wykasować zdjęcia, wyrzucić z mózgu ich kształt, zawartość, rysunek, zapach. Na samą propozycję, bym je wyniósł z suchych i jasno oświetlonych piwnic, archiwiści nagle robili się nieprzyjemni, obcesowi, posuwali się nawet do fizycznego usunięcia mnie z archiwów. Każdy z nich dokładnie w taki sam sposób. Każdy z nich używając tych samych słów czy skopiowanych przez kalkę gestów. Nawet błęd składniowy

zrobili w dokładnie tym samym miejscu. Każdy z nich o dokładnie tej samej godzinie, 13.17, jeden po drugim, w odstępach dokładnie trzymiesięcznych. Nagrywałem te rozmowy. Rozwinąłem znaczniczki daty i godziny, też zupełnie nie wiem czemu, nie przypominam sobie, jak przyszedł mi ten pomysł do głowy.

W domu okazywało się, że te zdjęcia, które robiłem, najpierw były kompletnie nieostre. Drugie, te uzyskane po rozmowie, precyzyjnie wykonane po kategoriycznych odmowach wyniesienia zwojów, byłyby jak najbardziej prawidłowe, ostre, ale z jakiegoś powodu zrobione zostały w maksymalnej rozdzielczości i nie mieściły mi się na karcie. Na ekranie komputera smętnie wisiał komunikat, napisany białymi literami na granatowym tle: *Too big data. Impossible to save!* Ja takiej rozdzielczości nie używam, nigdy, nie widzę potrzeby, ktoś widać musiał majstrować przy moim aparacie. Majstrować? Przy aparacie, którego nie wypuszczałem z ręki? Żarty jakies?

Mam wrażenie, że coś się poruszyło na korytarzu, na schodach, dywan... Ale nie, to tylko ten wiatr, który nie wiadomo którędy od jakiegoś czasu wpada w moje przestrzenie i dokonuje rewolucji w papierach. Natychmiast znalazłem dziurę, labirynt, którym spływające po ścianie domu powietrze, jak mi się wtedy zdawało, wpada do salonu. Próbowałem ją załatać, ale po kilku nieudanych próbach po prostu dałem sobie spokój, w końcu to tylko jeszcze jedno wietrze, bardzo użyteczne przy wiecznie zamkniętych oknach.

Nie. Muszę być wobec siebie uczciwy. Cały czas usilnie próbuję wszystko sprowadzić do poziomu racjonalnego, szukam w zdarzeniach pierwiastka normalności i trzymam się go później kurczowo, odrzucając nawet najdrobniejszy rys na taflach żelaznej logiki i związków przyczynowo-skutkowych, naginając fakty i tworząc z nich własne gmachy myśli, które na czubku nie mają już nic wspólnego z rzeczywistością. Ale nie umiem się zmierzyć z tym, co mnie otacza. To wszystko wymyka się racjonalnemu opisowi, to wszystko jest jakby żywcem wyjęte z fragmentów *Necronomicon* szalonego Araba, Abd al-Ahzareda, z którymi to miałem przez chwilę okazję się zapoznać.

Uciekłem od głównego wątku. Skłamałem: nie znalazłem żadnego labiryntu, nie wiem, skąd bierze się ów wiatr w korytarzu.

O, znowu zawiało. Byłem pewien, że oto mój mózg, moja duma: moja inteligencja, moje doświadczenie i wspaniała intuicja pokona ją ten, w sumie zdawało się, błahy problem. Puściłem większą ilość dymu na ściany, w pokojach zainstalowałem czujki i kamery. Dym był suchy, ciepły, ale dość tłusty. Był bardzo wonny, zużyłem całe dwieście gram najlepszego tureckiego kadzidła, więc gdyby tylko gdziekolwiek była jakaś dziura – przeniknęłoby niechybnie do środka domu. Nic. Ani odrobiny złamanej jasności powietrza. Ani najmniejszej smużki zapachu. I cisza, absolutna cisza, której nie było od wielu już dni. Wszedłem wtedy na chwilę do sklepu. Gdy wróciłem – po dymie nie było już nawet śladu, a w domu pogwizdywał wiatr. Ten sam. Nawet się trochę ucieszyłem. Cisza, jaka pojawiła się w czasie eksperymentu, aż świdrowała.

Dzieją się wokół dziwne rzeczy. Ja czekam na rozwój wypadków. Czekam...



*CAŁY CZAS USILNIE PRÓBUJĘ WSZYSTKO
SPROWADZIĆ DO POZIOMU RACJONALNEGO...*

II.



NALEZIENIE optymalnej trasy do M(alborka) nie zajęło mi wiele czasu. Po trzech próbach wiedziałem już, że skręcając w N(owej) K(arczmie) w prawo i jadąc później przez S(karszewy), a nie przez T(czew), trafiam do M po trochę więcej jak godzinie. Nawigacja z uporem godnym lepszej sprawy pchała mnie zawsze przez G(dańsk) i dalej autostradą lub przez G, NDG (Nowy Dwór Gdański) i tam skręć w prawo, ale to było prawie czterdzieści kilometrów dalej, kto by chciał siedzieć za kierownicą dłużej, niż trzeba? Nie, znam takich, co mogliby, ja się do nich nie zaliczam, interesuje mnie przemieszczenie się z punktu A do punktu B w możliwie jak najkrótszym czasie, pokonując możliwie jak najmniejszą liczbę kilometrów. Stąd też jazda z K do M przez S po drugim już razie zaczęła dawać mi uczucie optymalnego wykorzystania czasu i pieniędzy. Nie musiałem łąć w zbiornik więcej, niż było to absolutnie konieczne. Jeśli jeszcze do tego dołożymy ścianę białych kwiatów, którymi obsypywały się na wiosnę rosnące wzdłuż drogi krzewy w B(roszewie), jazda przez pachnący las pod W(ędkowami), nawet tę trasę polubiłem. Był tylko jeden motyw, krótki co prawda, ale pojawiał się zawsze, gdy jechałem: w S, gdy już zjechałem z ronda, po lewej stronie wykladała się rozległa łąka, zaniedbana, to było widać. Latem gdzieś tam stały pojedynczo krowy, spokojnie się pasące, w dalszej krawędzi, równoległej do drogi, zamykał ją kamienny mur. Z perspektywy szyby

auta ta ściana wydawała się solidna. Użyte do jej konstrukcji duże, nieforemne kamienie były porządnie ze sobą połączone, była chyba jakimś elementem obronnym miasteczka. Na początku tego nie zauważyłem, ale gdy jechałem pewnego suchego i bardzo gorącego dnia, gdy stało palące, sierpniowe słońce, termometr w samochodzie pokazywał ponad czterdzieści stopni, klimatyzacja pracowała jak oszaląła, ledwo dając radę sprowadzić temperaturę do jakiej takiej normy – nad tą łąką stała mgła. Nie była to klasyczna mgła, która albo pokrywa cały widoczny świat mleczną powłoką, albo wypuszcza wąskie pasma, które mieniąc się i skrząc, każde w nieco innej tonacji, kładąc się jedno nad drugim, przypominają kupowane w sklepie na rogu wafelki z masą czekoladową po dwanaście złotych za jeden kilogram. Był to dziwnie nieskoordynowany, przypominający raczej płynące po niebie obłoki kłęb, który chwilami się podnosił, chwilami opadał. Słońce, które oświetlało ten dziwny twór, z ledwością przebijało się przezeń, kładąc na drodze równie osobliwe figury, gwiazdy, koła, sylwetki ptaków, węży czy jaszczurek. Miałem wrażenie, że za chwilę kakadu wzleci w górę z krzykiem, kruk dystyngowanie przemieści się w kierunku pobocza, ponieważ pozostawienie leżącej na drodze padliny zajęcia byłoby nieskończonym i zupełnie niezrozumiałym marnotrawstwem, zwinka ucieknie z nagrzanego asfaltu i schowa się pod wielkim kamieniem, nie spuszczać mnie z oka, i gdy minę jej bezpieczne schronienie, ostrożnie wystawi spiczasty pyszczek i krok za krokiem znajdzie miejsce, w którym przed chwilą się wygrzewała.

Te wszystkie obrazy, które – jak sobie dziś przypominam – kładły się to na asfalcie, to unosiły w górę i wisiały, jakby zaczepione na niewidzialnym sznurku – były tak realistyczne, że odniosłem wrażenie, iż sam stałem się nagle elementem tamtego świata i obserwuję go nie z zewnątrz, jak prawdziwy naukowiec, doświadczenie, empiria, laboratorium, a ten obserwowany, przedmiot doświadczenia, empirii, zwierzę laboratoryjne. Pojawiło się nieznanie wcześniej uczucie, nie umiałem go wtedy nazwać, dziś powiedziałbym, że nagle stałem się immanentną częścią tamtej rzeczywistości, która mnie – tak mi się wydawało – wciągnęła, uwięziła i – znów mi się wydawało – zrozumiałem, że nie będę mógł z niej wyjść i wrócić do mojej rzeczywistości, kulawej, brudnej, cuchnącej, ale znanej mi, a więc

i możliwej do dalszej eksploracji. Że w jakiś przedziwny sposób dostałem się do – no właśnie, dokąd? – w inny wymiar – brednie, moje ściśle wykształcenie natychmiast odrzuciło taką możliwość, żyjemy w czterowymiarowej czasoprzestrzeni, gdzie są trzy wymiary liniowe i wymiar czasu. Gdzie więc niby miałbym się znaleźć? W innej czasoprzestrzeni? Fizycy dopuszczają takie zjawisko jak wielość czasoprzestrzeni, ale są to klasyczne, teoretyczne spekulacje, nieoparte na razie żadnymi dowodami z doświadczenia. A może to był tylko wytwór mojej neurotycznej wrażliwości, wiecznego doświadczania ocierania się o zjawiska brzegowe? Willidy w jesiennym lesie, gdy nad polaną kładł się już zmrok? Smoki w jamach? Ciemne, wilgotne drzwi w piwnicy, prowadzące pewnie w jakąś inną rzeczywistość? Cmentarne kwiaty o wielkich, kształtnych liściach, kryjące nieskończone tajemnice tych, co odeszli? Oświetlona niebieskim światłem lada, w której stały mleko, twaróg i masło w sklepie na Giermków, która później wypełzała w nocy, budziła i nie dawała spać? Siedzący na szafce i kiwający do mnie Ho Shi Min¹ z długimi wąsami i w stożkowym kapeluszu, który następnego dnia umarł? Sąsiad w trumnie, który nagle odszedł niecały miesiąc później? Nie bardzo mogłem dowierzać swojej neurotyczności, często pchała mnie w przestrzenie, których nie rozumiałem i nie chciałem rozumieć, ale przecież w ten sposób dostawałem ostrzeżenia! Ktoś, coś z innego wymiaru, a może tylko moja podświadomość, która w niezrozumiały dla mnie sposób łączyła się z innymi czasoprzestrzeniami – czyli co? Są? Mogą być? Ten ktoś pojawiał się nagle, by przez błysk, iluminację przenieść mnie na chwilę z rzeczywistości, w której byłem, do rzeczywistości, w której być nie mogłem, a która (które?) zdawały się istnieć bez względu na to, czy mi się to podobało, czy nie.

Mgła ustąpiła tak samo szybko, jak się pojawiła. W drodze powrotnej nie zaobserwowałem podobnego zjawiska. Łąka robiła wrażenie zwykłego użytku zielonego, a krowy pasące się na niej lub stojące i z obojętnymi minami przeżuujące wcześniej wygryzioną trawę były zwyczajne. Mur odgradzający łąkę od uliczek miasteczka trochę chyba poszarzał, ale przecież jechałem kilka godzin później! Zelżał upał, słońce stało niżej, jego promienie ślizgały się już tylko

¹ Zmarły w 1969 roku prezydent Demokratycznej Republiki Wietnamu.

po kamieniach, nie rozświetlając ich tak jak wcześniej. Zauważyłem, że wzdłuż muru ciągnął się rów, niezbyt głęboki, może dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów, prawdopodobnie resztki po fosie. Zwykły obraz zwykłego miejsca, trudno było się dopatrzeć czegoś niezwykłego. Myślałem, że może pojawi się mgła, ale tym razem na odmianę widziałem falujące powietrze, unoszące się nie znad asfaltu, a właśnie znad łąki, a jeśli już mam być ścisły i precyzyjny, a przecież tak sobie obiecałem, falujące powietrze unosiło się znad rowu, zakręcało w kierunku połąci traw i schłodzone opadało na ziemię, przestając być widoczne gdzieś na wysokości około jednego metra. „Nic w tym dziwnego, zwykłe zjawisko fizyczne związane z ruchem konwekcyjnym – pomyślałem – tylko czemu akurat znad fosy?” Było jeszcze gorąco, może nie tak bardzo jak wtedy, gdyjechałem rano, ale jednak gorąco. Po szybkim otaksowaniu zrozumiałem, że najprawdopodobniej fosa była wystawiona na najsilniejszą operację Słońca, resztę łatwo już było przewidzieć.

Cykliczność moich wyjazdów do M niejako zmuszała mnie do zmian tras. Zawsze zależało mi na czasie, zawsze chciałem go w samochodzie spędzić tylko tyle, ile jest absolutnie niezbędne, a jednak nie bardzo uśmiechała mi się myśl, że miałbym wciąż oglądać te same wsie i miasteczka. Przez kolejne tygodnie, dwa a może trzy, nie ma to dziś znaczenia, jeździłem przez Z(blewo) i S(tarogard) G(dański), nieco dalej i trochę dłużej, ale inaczej. Nie lubiłem tej trasy. Urokliwie położona w lesie, w swojej ostatniej odsłonie wiodła przez tory kolejowe i obok na wpół rozwalonego budynku, byłej stacji kolejowej, z mieszkaniem dróżnika czy zawiadowcy. Ledwo trzymające się mury robiły wrażenie, jakby jakaś wielka pięść jednym uderzeniem skruszyła wątlność zaprawy i wysunęła część brązowoczerwonych cegieł, produktu niedalekiej cegielni, poza obręb nadany kiedyś tam wprawnymi rękoma zapomnianego murarza, a belki, tworzące więźbę na wpół zapadłego dachu, przegniłe i częściowo przepalone, wyglądały jak upiorny stosik wielkich golemowych zapalek, którymi ów chwilę radośnie bawił się, w końcu je porzucił i o nich zapomniał. Ale najsilniejsze uczucia budziły okna. Na parterze zabite deskami, na obu piętrach czarne, nieprzeniknione, pozbawione ram i szyb. Kiedyś usłyszałem stamtąd muzykę, jakby winylową płytę z marszem wojskowym, zacinającą się po kilku

taktach i powtarzającą prosty rytm na dwa: tam tata, tam tata... Tu z całą pewnością zadziałała moja fantazja, po kilku metrach jazdy rytm zniknął, dokładniej – skonstatowałem ku własnemu zdumieniu, że właśnie w radiu nadawano relację z jakiejś uroczystości wojskowej i tam tata, tam tata, tam, tam, tam, tam grały po prostu sekcje barytonów i basów, na tle figuracji pikuliny i wsparcia klarinetów oraz saksofonów. To mogłem więc sobie całkowicie realnie wyjaśnić na bazie racjonalizmu, ot, włączyłem do podświadomości trochę otaczającego mnie dookoła świata, łącno więc o całej sprawie zapomniałem. Zresztą o czym tu pamiętać? Całe lata życia sam ze sobą nauczyły mnie, że muszę bardzo mocno pilnować siebie przede wszystkim, nie dać ponosić się temu drugiemu, co gdzieś tam głęboko tkwi, i który wszystko najchętniej przepuszczałby wyłącznie przez przestrzeń intuicji, zostawiając racjonalizm samemu sobie, żeby interweniował tylko wtedy, gdy...

No właśnie. Kiedy miałby interweniować? Jak oddzielić to, co wymaga bezwzględnej racjonalności od tego, co już wymaga oceny intuicyjnej i jakby spoza aparatu pojęć logicznych? Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie, więc wprowadziłem w siebie konieczność, taki imperatyw, działania logicznego. Nawet jeśli problem początkowo był rozwiązany intuicyjnie, zmuszałem się do późniejszego rozłożenia go na drobne i sokratejską metodą, stawiając pytania i uzyskując odpowiedzi, składałem go w całość, uzyskując zawsze wynik, jaki podpowiedziała mi intuicja. To pozwoliło mi uwierzyć w intuicję, ale również zbudowało wewnętrzną konieczność, rozkaz potwierdzenia odczuć rzetelną analizą. I ta właśnie analiza, to wzięcie pod uwagę większej liczby przesłanek, niż tylko tej jednej, że oto jadę koło tego domu, gdzie z pewnością straszy, pozwoliła mi wyeliminować głupawe pomysły, że ktoś tam mieszka i z jakiegoś powodu puszcza zaciętą płytę. Logika. Umysł. Analiza.

Wróciłem do jazu przez S. Nie wiem, czemu tak się stało. Rozum, logika całkowicie rozprawiły się z domniemanymi strachami, zamieszkującymi rozwaloną stację kolejową. Chyba jednak pod wpływem czytanych kiedyś opowiadań Grabińskiego i jego fascynacji koleją, pędem, ruchem, torami gnającymi w nieskończoność, opuszczonymi budkami dróżników, gigantycznymi cielskami lokomotyw, fascynacji, która przerodziła się w obsesję widzenia czegoś, czego

najzwyczajniej w racjonalnym systemie postrzegania po prostu nie ma, w świecie podświadomym musiało we mnie to zalegać. Bo choć tory mają swój koniec, lokomotywy nie rozplývają się w chmurach, pociągi zmierzające do Warszawy zawsze do niej docierają, szkielet budnika nie jest w stanie wystukać Morse'em: „Wagony odpadły. Dużo ofiar. Przyślijcie skład ratunkowy”, jakaś nuta niepewności, obawy przed nieznanym, nakazała zmienić trasę. Pierwsze dwa czy trzy razy, zanim się zorientowałem, musiałem nadłóżyć kilka kilometrów, szukając dogodnego połączenia trasy do Z z trasą do NK. Miałem tu nieodparte wrażenie, że jakaś siła trzyma mnie (siła to za dużo powiedziane, jakieś niewielki nakaz wewnętrzny, może prośba raczej...) trasy, którą na poziomie racjonalnym jeździć nie chciałem. Kilka pierwszychjazd przez S (S jest jednym z punktów orientacyjnych drugiej trasy: najpierw osiemnaście kilometrów do NK, później dziewiętnaście kilometrów do S, kolejne dwadzieścia kilometrów do następnego S i w końcu dwadzieścia pięć kilometrów do M) finalnie niczego nie przyniosło, takie zwykle przesunięcie się przez miasteczko, szczytające się istnieniem od XII wieku, a może i wcześniej (ponoć zaczątki osadnictwa tam datowane są na pięćsetny rok p.n.e.), upływało mi całkiem bez sensacji. Te same cotygodniowe audycje w tej samej rozgłośni radiowej. W tym samym miejscu radio gubiło zasięg, napełniając samochód jednostajnym, monotonym szumem. Ten sam mocno nawalony, zataczający się po całej jezdni facet o tępej, zaciętej twarzy, ciągnący do miasta, miasteczka właściwie, dwieście metrów do przodu, sto do tyłu (wypity alkohol nie pozwalał na stały, jednostajny ruch przed siebie), wygrażający pięścią każdemu przejeżdżającemu samochodowi, wrzeszczący w sobie tylko zrozumiałym, bełkotliwym języku. W miasteczku te same tłumy odświeżnie poubieranych ludzi: mężczyzn w wyciągniętych z czeluści szaf garniturach, w których czuli się gorzej, jakby kto zwałił im na plecy worek cementu czy dwa worki kartofli. Kobiety w sukienkach, letnich, z gołymi nogami, trzymające mężczyzn mocno pod ramię. Mieliby uciec, czy one same nie czuły się pewnie w wyciągniętych z szaf szpilkach? Zblazowanych grupek nastolatków, chłopców w ciemnych spodniach i białych koszulach, dziewczyn w króciutkich spódnickach, bezwstydnie pokazujących długie, proste, opalone na brąz nogi. Jedna z nich wyróżniała się co

tydzień tak samo: ubrana w stylu *gothic*, z bardzo mocnym, ciemnym nawet jak na *gothic*, przesadzonym makijażem, w czarnej skórzanej kurtce, której nie ściągnęła nawet mimo gorąca, w krótkiej spódniczce i w czarnych kabaretkach, opinających jej nieco krzywe, dość nieforemne nogi. Wszyscy zmierzali w jednym kierunku. Za przejściem dla pieszych skręcali w lewo i niespiesznie, leniwie jak woda w przepływającej przez środek miasteczka rzeczce, kierowali się do stojącego na niewielkim wzgórzu, widocznego z dużej odległości kościoła z XIV wieku, z pojedynczą wieżą, wyraźnie inną, wyraźnie kłócącą się architektonicznie z resztą budowli, na której zegar zatrzymał się na godzinie 7.12. Zawsze gdy mijałem przejście z jedynymi w S światłami, rozlegał się dzwon kościelny, przypominający dobrym chrześcijanom, że czas oddać Bogu, co boskie, a proboszczowi, co należne, wtedy odruchowo rzucałem okiem na zegar w samochodzie. Godzina dzwonienia wydawała się przypadkowa.

Któregoś razu dojeżdżałem już do świateł, gdy akurat na kierunku zrobiło się czerwone, musiałem się więc zatrzymać. Odruchowo otworzyłem okno. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale dziś już patrzę na to zupełnie inaczej! Skąd tam odruch, skoro pracowała klimatyzacja, precyzyjnie ustawiona na dwadzieścia dwa stopnie, wrzucająca do wnętrza fale rzeńskiego, suchego powietrza? Rozwalony w wygodnym fotelu samochodu usłyszałem głos zbuntowanego nastolatka, stojącego na samym brzegu chodnika:

- Znowu kościelny się nachlał. Przecież to ani cała, ani pół do!
- Milcz! – warknęła korpulentna jejmość, która z trudem, jak wyrzucona ryba, łapała powietrze. – Milcz! Ty zawsze masz za dużo do powiedzenia. Kościelny też człowiek. – dorzuciła jakoś bardziej pojednawczo, jakby chciała zatrzeć niemiłe wrażenie, które sama sprokurowała i które jak obłok mgły otuliło wszystkich dookoła. – Też może się pomylić.
- On zawsze się myli, matko! – Młodzieniec o fizjonomii filozofa z mocno pryszczatą twarzą pokręcił zdecydowanie głową. – Pytałem księdza proboszcza, ma dzwonić o całych i o połówkach. A teraz jest – spojrzął na zegarek – pięć po pół do.
- Więc dobrze zaczął! Pięć minut temu! A za chwilę skończy. Nie

czepiaj się dorosłych, gówniarzu! – warknęła znów, ruszając na pasy, stawiając ostrożnie wałkowate nogi w czarnych czółenkach, dokładnie między białe prostokąty na asfalcie. – Ty też kiedyś będziesz dorosły.

Ten w sumie trywialny i bezsensowny dialog obudził we mnie jakiś dziwny rodzaj czujności. „Przecież to absurd!”. Machinalnie zmieniałem biegi z niższych na wyższe i w drugą stronę. „Chłopak pewnie ma rację. Kościelny wypił kilka piw za dużo, spieszyło się chłopu do szaletu, a że najpierw obowiązki, tedy zadzwonił i, zadowolony z wykonanego zadania, pogalopował, by sobie ulżyć”. Ale ten dowcip wydał mi się kiepski, a cała sytuacja, która ponoć go sprowokowała – idiotyczna. Nie mogłem jakoś sobie wyobrazić małej, odciętej od świata miłośnicy, położonej co prawda przy dość ważnej, ruchliwej drodze, za dnia gęsto rozświetlonej reflektorami aut i nielicznymi z oszczędności latarniami. Jednak wieczorem, gdy kończą się już msze i zatrzasną się jednocześnie wszystkie drzwi do domów, a okna najpierw rozbłysną na żółtawo od zapalonych żarówek, a później znikną w ciemności za grubymi, odcinającymi od wzroku ciekawskich sąsiadów zasłonami, droga nagle jakby zamiera. Ruch robi się rzadszy, sporadyczny nawet. Czerni asfaltu tylko od czasu do czasu lizana jest osłepiającą smugą, rzucaną z niespiesznie jadącego auta. Miasteczko, które powolutku żyje za dnia, w nocy prawie umiera, a jego kościelny przy prawie tysiącletniej tradycji i minimum trzydziestu pięciu pokoleniach kościelnych nie potrafi tak zsynchronizować potrzeb, być może również alkoholowych, żeby pociągać za sznury w dokładnie przez proboszcza określonych porach. „Proboszcz – tak myślałem i jak się później okazało, miałem rację – byłby w stanie tolerować to raz, może dwa. Kolejny raz wyrzuciłby takiego pracownika na zbity pysk. A o pracę, taką pracę, o takim prestiżu, kościelny to jest ktoś, w takim środowisku niesłychanie trudno, a wstyd jaki...”

I tu przyłapałem się na tym, że z jednorazowego faktu wyciągam daleko idące wnioski.

- Przecież ta sytuacja ma miejsce pierwszy raz, a przynajmniej ja ją po raz pierwszy obserwuję – mówiłem do siebie półgłosem – Młody mógł się pomylić, młody mógł mieć popsuty

chronometr, młody mógł nie lubić kościelnego choćby z powodu trywialnych jabłek na plebanii, zawsze u proboszcza najbardziej słodkich, młody zwyczajnie mógł dojrzewać, a wtedy przecież zaprzecza się wszystkim oczywistym faktom, które w danym momencie nie pasują do naszych wyobrażeń i czyni się to z wielkim, ogromnym przekonaniem, będąc wściekłym. Czemu tak oczywiste i proste rzeczy wywołują u innych tylko uśmiech politowania? Logika. Następstwo faktów. Chronologia. Zasada indukcji i dedukcji. Przecież to elementarz wykształconego człowieka.

- Nie wolno – krzyczałem już do siebie w aucie – z pojedynczego faktu wysnuwać uogólnień. Tamten pewnie coś pomylił, matka, choć nie wyglądała na specjalnie inteligentną, wydała się zdecydowanie bardziej godna zaufania i choć jej argumentacja była żadna, to jednak prowadziła do słusznego celu: ostrożnie z obelgami i podejrzeniami. Doświadczenie. Metoda. Analiza.

Tydzień później padał rześisty deszcz, zapowiadany od wielu dni jako swoista hekatomba, niemalże kara za grzechy świata. Ulewa stała ścianą. Przewalały się fala za falą. Gdy się nasilały, nie można było wykonać kroku do przodu; gdy robiły się wyraźnie łżejsze – wtedy można było spokojnie wyjść, ryzykując tylko dość mocne, ale w sumie niespecjalnie uciążliwe zamoczenie. Wyjechałem wcześniej, nie chcąc się spóźnić. W radiu spiker poważnym głosem czytał o stratach, jakie już ulewa wyrządziła, o rzeczkach, które zwykle, płynąc sobie leniwie, dziś występowały z brzegów i zalewały okoliczne pola i domostwa. Niepokojące okazały się doniesienia z S, gdzie spokojna zawsze rzeczulka tym razem zalała pół miasta, wlała się do piwnic, napełniła stare, zasypane dawno temu koryto, sporą część fosy i groziła zatopieniem głównej trasy w środku miasteczka. Jako że miałem jeszcze sporo czasu, paliwa w zbiorniku było dużo, a silnik pracował równo, postanowiłem, że zobaczę na miejscu, co tam się rzeczywiście dzieje.

- Odradzamy przejazd przez S – informował męski głos w radiu. – Cały czas umacniane są brzegi rzeki, ale woda tak szybko przybiera, że może przełamać zbudowany z worków z piaskiem prowizoryczny wał. Na godzinę dziesiątą dwadzieścia

spodziewamy się kulminacyjnej fali, jej wysokość może sięgać nawet dwóch metrów...

W sumie było mi obojętne, ile metrów ma najwyższy punkt fali, zwany grzbietem, równie niewiele mnie interesowało, o której przejdzie przez S, w orbicie mojego zainteresowania było tylko, czy dam radę przejechać i niespiesznie skierować się do M.

Policja zaczyna organizować objazd S. Komendant policji apeluje do wszystkich kierowców: „Na razie miasteczko jest przejezdne, ale wszyscy, którzy nie muszą tamtędy jechać, niech raczej kierują się objazdami, nie wiadomo kiedy trzeba będzie S zupełnie odciąć od świata”.

Trochę przyspieszyłem. Nie chciało mi się szukać jakichś innych dróg, znów odezwała się potrzeba jazdy z A do B, bez przyjemności zwiedzania okolicy. W M czekała na mnie W., espresso, dobra herbata i jakieś ciasto. Wjazd do S nie zwiastował żadnych kłopotów, przejazd do ronda, tego ze stacją benzynową, też odbył się bez przeszkód. Co prawda woda waliła z nieba jak z ogromnego, nieskończonego wodospadu, ale na drogach stało jej może pięć centymetrów, może mniej, bez najmniejszego kłopotu rozbijanej i rozgarnianej kołami samochodu. Na prawo i lewo strzelały szpryce brudnego błota, mieszaniny zalegającego na poboczach piasku i wody, ale przy tej ilości, która lała się z nieba, były zupełnie nic nieznaczące. Nie widać było nikogo na ulicach, ludzi jakby wymiotło, a jednak przy przejściu dla pieszych, tym ze światłami, zebrał się spory tłumek, który czekał na zielone, spoglądając przed siebie spod rozłożonych parasoli wszelkiego koloru i wielkości. Kobiety przestępowały z nogi na nogę. Strugi brudnej, mętnej brei, płynącej po chodniku, zalewały im stopy, odziane tylko w cienkie rajstopy i lekkie buty, często zwykłe sandałówki, wciskając w nie grudki piasku, pety czy patyczki od lodów. Niektóre z nich, przewidując taki bieg wypadków, wciągnęły gumowce, co z jednej strony wywołało u pozostałych odruch zazdrości, a z drugiej politowania: niedzielna sukienka, wyciągnięty z worka foliowego, woniejący naftaliną żakiet, zakładany od wielkiego dzwonu, i gumowce, symbol pracy w polu, w oborze, w chlewie. Nie, to stanowczo nieeleganckie, to wieśniackie...

Zatrzymałem auto. Deszcz nagle, jakby ktoś go uciął tasakiem, przestał padać, ale czuło się, że to tylko na chwilę. Lunie, z całą pewnością lunie, za pięć minut, dziesięć, nie później. I w tym momencie rozległy się dzwony. Odruchowo spojrzałem na zegarek: było dwanaście minut po dziesiątej. Było, nie było, to w tym momencie nie miało żadnego znaczenia, pojawił się bowiem zgoła inny problem. Jakąś chwilę wcześniej, gdy przekraczałem tablicę z napisem S., wjechałem prawdopodobnie w dużą dziurę, bo samochodem mocno rzuciło, coś ogłuszająco huknęło, śliska jezdnia spowodowała, że auto zatańczyło. To nic, że w tej samej chwili ESP ustabilizował kierunek jazdy i wszystko wróciło do normy. Pomny tego, co usłyszałem, zląkłem się o całość pojazdu. Nie chciałem się zatrzymywać tu i teraz, widoczność w deszczu ograniczała się do kilku metrów, może dwóch, nie więcej, włączenie świateł awaryjnych nic by nie dało, trzeba było szukać bezpiecznego zjazdu. Okazja sama wpadła mi w ręce: korzystając z chwilowej przerwy w ulewie i mając obok przejścia zatoczki dla autobusów, zjechałem, zgasilem silnik, wyszedłem z auta i nachyliłem się nad lewym tylnym kołem, bo tam właśnie spodziewałem się problemu. I wtedy dobiegł mnie znajomy głos:

- Matko, kościelny znów się nawalił. Jest dwanaście po dziesiątej! – Głos niezawodnie należał do znanego mi już pryszczatego nastolatka. Młodzian ów stał cały czas na brzegu chodnika. Z długich włosów spływały mu na twarz i na kołnierz wiatrówki strużki wody, które on próbował jakoś opanować, ścierając je wierzchem dłoni.
- Ty znowu swoje! – westchnęła okutana przeciwdeszczowym płaszczem i chroniona wielkim przezroczystym parasolem matka, podnosząc w niemym proteście oczy do nieba. – Nie mam już na ciebie siły. Kościelny nie pije! Być może znowu miał jakiś ważny powód, by wcześniej dzwonić. Ksiądz proboszcz...
- Ksiądz proboszcz prosił mnie, matko, że gdybym usłyszał, że coś jest nie tak, to mam mu powiedzieć.
- I powiesz?
- Przecież od września idę do seminarium! – powiedział z dumą.
 - Muszę słuchać proboszcza.

– A rób sobie, co chcesz! – rzuciła zrezygnowana. – Idziemy, zielone.

Na szczęście nic się nie stało. Prawdopodobnie jakiś zabłąkany kamień uderzył w podłogę samochodu, ale nawet najstaranniejsze oględziny tego nie potwierdziły. Znowu pojawiły się krople deszczu, które chwilę później zmieniły się w ulewę, jeszcze silniejszą, jeszcze wścieklejszą niż wcześniejsza, tedy bez zwłoki ruszyłem, chcąc jak najszybciej opuścić S. Zaraz za rogatekami ulewa nagle ustała, znowu jakby oto jakaś niewidzialna gigantyczna ręka chwyciła i wyjęła chmurę, po czym rzuciła jej pozostałości na ziemię, otulając sześciorożną drogę, drzewa, krzewy i stojące tu i ówdzie bele zwiniętej słomy oraz siana.

Kolejnego razu może bym i nie pamiętał, bo pogoda była w miarę znośna, dość chłodno jak na sierpień, dwadzieścia trzy stopnie, ale ta zmiana pogody (przez kilka poprzednich dni temperatury sięgały czterdziestu stopni) była mi na rękę, bo wysiadła klimatyzacja. Jak na złość, wieczorem nagle przestała chłodzić. Nie miałem czasu na jazdę do mechanika, zresztą jak sam mi przez telefon powiedział, da radę zająć się autem dopiero w poniedziałek. Może naiwnie, ale mu uwierzyłem, bo nie dość, że zawsze jestem przezeń traktowany jak klient z najwyższej półki, to jeszcze poprzedniego dnia, gdy wracałem z G, zauważyłem, że na jego podwórku stało kilkanaście niesprawnych aut. Przy niektórych z nich kręcili się zaaferowani pracownicy, część samochodów odpoczywała z pootwieranymi maskami i zimnymi, wytrzeszczonymi w jeden punkt oczami reflektorów. W ten sposób przypominały ogromne morskie potwory, nieruchomo czekające na łatwy, tani łup.

Wieczorem trochę pomarudziłem. A to kilka telefonów, a to jakaś książka, a to koncert na *Mezzo*, jeden czy dwa drinki i poszedłem późno spać, co oczywiście wywołało określony skutek. Obudziłem się, gdy byłem już spóźniony, a bardzo nie lubię, gdy W. na mnie czeka. Wyskoczyłem z łóżka, szybki prysznic, śniadanie na jednej nodze, biegiem do samochodu. Już wiedziałem, że nawet jeśli będę gnał na złamanie karku, w M zjawię się dopiero około jedenastej dziesiątej i to tylko wtedy, gdy nic mnie na trasie nie zatrzyma. Tylko ta cholerna klimatyzacja... Na szczęście upał mocno zelżał, wystarczyło uchylone okno. Mocno przycisnąłem,

tak na pograniczu szaleństwa, ale i tak na rogatkach S pojawiłem się dopiero około dziesiątej trzydzieści pięć, stanowczo za późno. Chwilę później, z głową zaprzątniętą jednym problemem: „Jak się spóźnić jak najmniej?”. Szkoda mi każdej zmarnowanej minuty bez W., ma zawsze czas tylko do trzynastej – niezauważenie znalazłem się na tym jedynym przejściu ze światłami. Zatrzymałem się, bo właśnie się zmieniały. Przy brzegu przejścia stał jak co tydzień tłum i gdy tylko pojawił się zielony kolor, zaczęły bić dzwony. Nawet mnie specjalnie nie zdziwiło, że usłyszałem ważny głos przyszczatego nastolatka:

- I widzisz, mamó, znów to samo! Byłem u księdza proboszcza, podziękował, powiedział, że zwróci kościelnemu uwagę! I pewnie zwrócił, bo ksiądz proboszcz nie kłamie...
- Nawet nie próbuj inaczej myśleć, ksiądz nigdy nie kłamie!
– usłyszałem warkliwy głos gdzieś z wnętrza ruszającego na przejście tłumy.
- Bo ksiądz proboszcz nie kłamie – powtórzył, tym razem z naciśkiem. – Pewnie jednak kościelny znów za dużo...
- Milcz! – Kobieta krzyknęła i lekliwie rozejrzała się dookoła.
– Milcz i nie rzucaj oskarżeń na porządnego człowieka, rozumiesz? Porządnego człowieka. On z księdzem proboszczem już trzydzieści lat razem tutaj, u nas, w S, w kościele, urzędują, moc dobrego zrobili, moc. Obyś ty kiedykolwiek w swoim dorosłym życiu, księżowskim, zrobił połowę tego...

Spojrzałem na zegarek w samochodzie. Była już za kwadrans jedenasta, będąc superdokładnym: do jedenastej brakowało szesnastu minut. Ruszając ostro spod sygnalizatora, uświadomiłem sobie, że chociaż w ciągu trzech tygodni przejeżdżam to skrzyżowanie o bardzo różnych porach, za każdym razem spotykam te same osoby, za każdym razem biją dzwony, i za każdym razem te osoby rozmawiają właśnie o bijących dzwonach.

- Przypadek! – roześmiałem się w głos. – Zbieg okoliczności! Takie rzeczy się zdarzają, prawdopodobieństwo zajścia szacuję na około pięć procent, a więc dość spore. Nie ma co poszukiwać jakichś metafizycznych, pozaziemskich czy

parapsychologicznych zależności. Kościelny pewnie rzeczywiście pije. Proboszcz, nie chcąc zniechęcić kandydata do stanu kapłańskiego, i jednocześnie chcąc być *fair* wobec wieloletniego pracownika, posunął się do niewielkiego, nieszkodliwego kłamstewka.

„Zresztą, co to za różnica? – myślałem dalej. – Wierni na modlitwę zostali wezwani, a że o różnych porach? Zegarki mają wszędzie, w domach, w telefonach, w samochodach, na przegubach. Niektóre z nich są zsynchronizowane z zegarami atomowymi, a nie ma dokładniejszych, więc sugerowanie się, że jest godzina taka to a taka, tylko przez bijące dzwony, jest alogiczne. Klóci się ostro z podstawami rozsądku i zdrowego myślenia. Doświadczenie. Logika. Nauka”.

Tłum spokojnie przeszedł przez jezdnię, światła leniwie zmieniły się na przeciwne. Powoli ruszyłem, starając się nie rwać silnikiem. Gdy minąłem już stojącego manekina, przywdzianego w najmodniejsze w tym sezonie ubiory robocze z kamizelką odbłaskową, nagle skonstatowałem, że czuję na twarzy zimne, suche powietrze. Ruszyła klimatyzacja! Mechanik przez telefon bił się w pierś, że aby ruszyła, potrzeba jakichś specjalnych zakłęb, a ona sama, nagle, ni stąd ni z owąd... „No cóż, zdarza się, może jednak było tak, jak sam myślałem, któryś ze styków się poluzował, a zresztą jakie to ma znaczenie, trzeba tak czy tak samochód oddać do przeglądu” – pomyślałem, zamykając okno i odcinając się zupełnie od świata zewnętrznego. W samochodzie zrobiło się cicho, grało radio, *air condition* leniwie i łagodnie wdmuchiwało fale idealnego powietrza, ani za zimnego, ani za gorącego, zniknęła suchość w ustach i potrzeba ciągłego sięgania na siedzenie obok, gdzie leżała duża butla wody. Nawet nie zauważyłem, kiedy na dworze zrobiło się upiornie gorąco, ciepłej chyba nawet niż wczoraj, niż przedwczoraj.



*GDZIE WIĘC NIBY MIAŁBYM SIĘ ZNALEŻĆ?
W INNEJ CZASOPRZESTRZENI?*

III.



RZEGORZA POZNAŁEM na imieninach u Irka, który miał w zwyczaju obchodzić ten dzień wyjątkowo hucznie i z rozmachem. Z reguły zapraszał nas do jakiejś knajpy. Tamtego roku czy to zabrakło mu kasy, czy chciał trochę dość nudny w sumie zwyczaj ubarwić, w każdym razie zorganizował je w domu, w ogródku. Rozstawił stoły, krzesła i namioty. We wkopanych w ziemię niezliczonych wiadrach chłodziły się gorzała i piwo, Irek nie uznawał wina. Pomiędzy ludźmi przemykali trzej kelnerzy, roznosząc gotowe koktajle, jakieś zakąski czy szklanki z whiskaczem. Jak zwykle kilku kumpli odpłynęło w ciągu godziny czy półtorej, nie czekając na świetnie zapowiadające się atrakcje kulinarne: golonki w piwie, pieczonego barana czy wreszcie doskonałą, taką jaką tylko Irek umiał przyrządzić, pieczeń wołową z sosem z zielonego pieprzu, a na koniec własnoręcznie pieczone kielbaski, szaszłyki czy wątróbki kurze, owinięte plastrami wędzonego boczku. Teraz, odprowadzeni przez usłużnych pomocników do jednego z namiotów, daleko na końcu posesji, spali pijackim, nerwowym snem. Od czasu do czasu któryś wybiegał, by dać upust przepelnionemu pęcherzowi czy żołądkowi. Kto znał Irka, ten wiedział, że jest to jego sposób na wyeliminowanie pewnej grupy ludzi, których zaprosić musiał, a gościć nie chciał. W sobie tylko znany sposób potrafił rozbudzić w nich nieprzemogłą chęć do wciągania ogromnych ilości

wysokoprocentowej cieczy, samemu umiejętnie oszukując i będąc w efekcie prawie całkowicie trzeźwym.

I oto Irek zręcznym ruchem zamienił pełną szklanekę wody na takowąż wody i korzystając ze swoich talentów aktorskich, wypił tak, jakby to nie była woda, a dość podły bimber. Niby czysty, a jednak z fuzlami, co na początku przechodzi gładko przez gardło, pod koniec wykręca twarz, a na samym końcu wywołuje niewielkie, ale doskonale widoczne wstrząsy głowy i ramion. Współbiesiadnik, uspokojony takim widokiem, powtórzył, ale z zupełnie inną zawartością, przez co chwilę jeszcze stał, tocząc nieprzytomnym wzrokiem dookoła, po czym na chwiejnych nogach ruszył bezbłędnie w kierunku najdalszego końca ogrodu. Irek, odprowadziwszy go wzrokiem, nagle, ni stąd, ni zowąd, szerokim ruchem, chwycił za barki jakiegoś mężczyznę w moim wieku, w okularach, z myślącymi, mądrymi oczami i powiedział w swój, charakterystyczny sposób:

- Chcę ci kogoś przedstawić! To jest Grzegorz, profesor, kulturoznawca. Grzegorz, to jest On. Tak właściwie nie wiem, co robi! Ostatnio twierdził, że zarabia myśleniem, ale o czym myślał, powiedzieć nie chciał. Zostawię was samych sobie, muszę jeszcze kilka szklanek opróżnić. – Uśmiechnął się złośliwie, wręczył nam po szklaneczce whiskacza i poszedł.
- Jesteś kulturoznawcą? – Słowa same bardzo łatwo przyszły, nadspodziewanie łatwo, zawsze miałem problem z rozpoczęciem rozmowy. – Ale czym dokładniej się zajmujesz?
- Wieloma zagadnieniami. Ostatnio zacząłem obrabiać poletko z ideami i opisem zjawisk paranormalnych w kulturze i ich wpływem na postawy ludzi oraz ich relacje z zewnętrznym otoczeniem.
- W kulturze są zjawiska paranormalne?
- Trywializujesz. Mówiąc twoim trywialnym językiem: są! – Wydawał się trochę zniecierpliwiony. – Ale porozmawiajmy o czymś innym.
- Możemy, ale... – Tu poczułem lekkie uderzenie paniki, zacząłem nerwowo w głowie szukać argumentu, by ta rozmowa

jednak potoczyła się w kierunku jego zainteresowań. – Ja... ja... po raz pierwszy o tym słyszę, chciałbym... coś więcej wiedzieć! Kompletnie zaskoczył mnie przedmiot twoich zainteresowań, nie sądziłem... – gadałem zupełnie bez składu, nerwowo kręcąc kółka w powietrzu, w duszy powtarzając sobie: „podejmij rozmowę, podejmij...”

- Wielu nie sądzi, bardzo niewielu sądzi – wpadł mi łagodnie w pół słowa, zaciągnął się papierosem, trzymany kciukiem i palcem wskazującym, chwycił mój wzrok. – Nie przeszkadza ci, że pałę, prawda? Przecież takie zjawisko kulturowe jak *Cthulhu* doczekało się rzeszy wyznawców na całym świecie. Powstały opowieści, komiksy, muzyka, filmy, zrodził się klasyczny kult, czasem nawet z elementami sekciarstwa. Lovecraft wymyślił *Cthulhu*, Lovecraft wymyślił *Necronomicon*, od początku do końca, od pierwszego do ostatniego słowa. Tak sugestywnie to zrobił, z tak ogromnym talentem, że ludzie uwierzyli, że *Cthulhu* czeka w R'lyeh, że *Necronomicon* istnieje i że niektórzy, wybrani, go czytali. Ale, co dziwniejsze, a dla badacza-kulturoznawcy ciekawsze i bardziej fascynujące: do dziś w to wierzą! To już trzecie pokolenie wyznawców!
- *Cthulhu*?
- Tak w *Cthulhu*.
- Wiem, może w twoich oczach wyjdę na niedouka, ale przyznam się wprost: nie mam pojęcia, co to jest *Cthulhu*, więc tym bardziej nie rozumiem, czemu miałyby być załączkiem kultu? Sekty?
- No to sobie teraz nie pogadamy! – powiedział, zaciągając się znów dymem. – Ale wiesz co, przyjedź do mnie do katedry, Uniwersytet w G, jutro, może gdzieś koło południa, dam ci książkę. Przeczytasz, zrozumiesz. Lub nie...
- Jaką książkę?

Mówiąc szczerze, mocno mnie zaskoczył. Pierwszy raz widzianemu (czy rzeczywiście pierwszy raz? Miałem cały czas nieprzemienne wrażenie, że gdzieś musieliśmy już na siebie wpaść, ale to było tylko wrażenie, nie wywoływało żadnych obrazów, wspomnień, asocjacji.

Po prostu z tyłu głowy tkwił tępy kołek, który uwierał i który wymuszał we mnie nerwowe poszukiwania w zasobach wspomnień, niczego tam nie znalazłem...) facetowi chce pożyczyć jakąś książkę.

- *Call of Cthulhu* – powiedział jakoś zbyt namaszczonym, pompacyjnym tonem. – Lovecrafta – dorzucił, jakby sam siebie przekonywał, że to jest właśnie dzieło tego człowieka. Z tonu głosu wynikało, że ma do niego jakiś stosunek, co najmniej osobisty.
- Dobrze – powiedziałem po chwili zaskoczenia. – Postaram się. Ale przecież książkę można zwyczajnie kupić... – Nachyliłem się nad smartfonem, po chwili pokazał się nieduży wolumin w czarnej oprawie, gdzie białymi literami było napisane tylko LOVECRAFT i pod spodem *Zew Cthulhu*.
- I tak, i nie – powiedział po chwili. – Rzeczywiście, kupisz tłumaczenie na polski, ale okrojone. Zadziałała tu jakaś, niezrozumiała do dziś, autocenzura tłumacza. Ja chcę ci pożyczyć oryginał, nieocenzurowany, w pełnym wymiarze, z pewnymi profetycznymi ustępami, zresztą sam zobaczysz. Rozumiem, że znasz angielski na tyle, żeby przeczytać powieść z początku XX wieku?
- No nie wiem... – zawahałem się. – Mój angielski...
- Ależ to nic trudnego! – Grzegorz (on gdzieś... gdzie... kiedy?) skwapliwie przerwał moje wątpliwości. Czuję, że mocno zapalił się do pomysłu, żeby mnie wciągnąć w te swoje dziwaczne przestrzenie. – Dasz sobie radę. Bo zresztą coś innego tu jest ważne, nie sam tekst, a apokryf objawień szalonego Araba, Abdula Alhazreda, Abd al-Hazreda – szybko się poprawił – z których części nie znajdziesz w polskiej, niemieckiej, rosyjskiej, francuskiej, a nawet brytyjskiej wersji. Jest tylko w wydanej w przednakładzie serii trzystu egzemplarzy z 1928 roku, dziś zapomnianej.
- Zapomnianej? Dziś, w epoce internetu i totalnej wymiany informacji?
- No właśnie, zapomnianej! – Grzegorz wyraźnie dosiadł swojego konia. – Dopiero kilka lat temu ku własnemu zaskoczeniu odkryłem egzemplarz w jednej z podarowanych mi bibliotek.
- Podarowanych?

- To jest pewien problem. – Grzegorz usiadł na ławce, postawił szklaneczkę z whisky i ciepłym gestem wskazał mi miejsce obok siebie, strzepując w tym czasie popiół z papierosa. – Ludzie przez całe życie zbierają książki, robią z nich przedmiot własnej dumy. Wiesz, że około trzydziestu procent książek w takich zbiorach nawet nie zostało ani razu otworzone? Jak umierają, to albo cały ten ogromny wór myśli i słów zostaje przeznaczony na przemiał, albo przekazuje się go komuś. Komu? Znaczący książek, przynajmniej w mniemaniu spadkodawców lub ich rodzin! Nie synowi, córce, najczęściej kompletnie niezainteresowanym, a cholera wie komu! Językoznawcy, kulturoznawcy, może poloniście, komukolwiek, byle nazwa tego kogoś była wystarczająco mądra. Kulturoznawca... O, to brzmi nadzwyczaj poważnie, mądrze i tajemniczo, więc trzeba go natychmiast znaleźć. Gdzie go szukać? Pewnie na uniwersytecie. No to sięga się po telefon lub wysyła maila. Nauczyłem się, że nie warto dyskutować, tłumaczyć, opowiadać, trzeba przyjechać, obejrzeć, jakoś tam skatalogować, co smaczniejsze kąski zabrać ze sobą, a resztę oddać do dowolnej biblioteki. I tak właśnie wszedłem w posiadanie wersji *Call of Cthulhu* z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, niepozornej książeczki, źle zresztą obrobionej edytorsko. Rodzina zmarłej kobiety w czasie pierwszej kwerendy ją zwyczajnie przepuściła, zakwalifikowała na przemiał, bo wyglądała jak spięty metalowymi zszywkami plik papieru gazetowego. Ja też w pierwszej chwili nie zwróciłem na nią uwagi. Ot, gazetowe wydanie popularnej, więcej niż popularnej pozycji. One nigdy nie są nic warte, najczęściej ze skrótami, z głupawymi objaśnieniami, skrojone na potrzeby bardzo przeciętnego czytelnika. Ale coś kazało mi tę pozycję odłożyć na bok. Zrobiłem to na tyle beznamyślnie, że spadkobierczyni, uważnie patrząca na moje ręce, spytała, czy potrzebuję kosa na śmieci. Dołożyłem tam jeszcze kilka pozycji, równie źle wydanych, równie mało efektownych, a na drugą kupkę, dużo większą, odłożyłem kilkadziesiąt pozycji pięknie oprawionych w cielecą skórę, z tłoczonymi, złotymi literami, ale dość typowymi, możliwymi do zdobycia w każdym praktycznie antykwariacie. Spadkobierczyni przejrzała obie kupki.

- No dobrze, te ładne sobie zgodnie z naszą umową zachowam – powiedziała. – Ale te brzydkie, czemu nie chce ich pan wyrzucić?
- Muszę je jeszcze przejrzeć! – Było to jedyne wytłumaczenie, które przyszło mi do głowy. – Tam nie ma w zasadzie nic ciekawego, ale może będą jakieś drobiazgi, które zaciekawią kulturoznawcę.
- Pozwoli pan, że przejrzę z panem? – Usiadła obok i tom po tomie, wolumin po woluminie przekładaliśmy je z jednej kupki na drugą. Za każdym razem kobieta kiwała głową ze zrozumieniem. Nie było w nich nic takiego, co by ją zainteresowało. Ale doszliśmy do *Call of Cthulhu*.
- O, *Cthulhu*! – wykrzyknęła. – Mam, kupiłam ostatnio. Szkoda, że wydałam pieniądze, matka miała... Nie, to po angielsku. Nie, to rzeczywiście nie dla mnie, choć dobrze się to czyta... Niech sobie pan to zabierze... Chce pan?
- Wezmę – powiedziałem nadal nieprzekonany. – Pewnie i tak ją wyrzucę! – Wzruszyłem ramionami. – Została ze mną do dziś... – Uciął nagle, zapalając nowego papierosa. – Zupełnie nie rozumiem, po co ci to opowiadam.
- Ludzie chętnie opowiadają mi różne rzeczy! – powiedziałem machinalnie, pociągnąwszy nieduży łyk ze szklaneczki.
- No tak, jesteś taką trochę ścianą płaczu – odparł, bacznie mi się przypatrując. – Ale na mnie już czas. Obowiązki! – uśmiechnął się smutno spod okularów. – Przyjdź jutro, będę czekał.

Wracając do domu piechotą w ciepły majowy wieczór, otoczony smugą zapachów wiosny, budzącej się tego roku bardzo późno i już poganiającej konwalie i zawilce, zapachów świeżej zieleni, mokrej ziemi i asfaltu, mocno skropionych majowym, tym, od którego się rośnie, ciepłym deszczem, zapachem powietrza, miękkim, niosącym woń niedalekiego jeziora obrosniętego na brzegu tatarakiem, bardzo intensywnie myślałem. Nie mogłem sobie poradzić z dzisiejszą rozmową. Człowiek, którego widzę po raz pierwszy w życiu, poważny, profesor, trochę jakby na siłę wciąga mnie w orbitę swoich zainteresowań. Nie pyta mnie, czy chcę. On przydziela mi delikatnie, subtelnie, bez cienia kapralstwa zadanie, które ja, chcę czy

nie chcę, muszę wykonać. Nie, nie pojedę do niego na uniwersytet! Ale przecież w ten sposób pokażę tylko swoją małostkowość, a nawet tchórzostwo. A może coś jeszcze innego? Trudno mi to ocenić, zresztą coś mnie tam metafizycznie ciągnęło. Jakaś siła, jakiś chyba imperatyw. Nie rozumiałem tego dziwnego podniecenia, które mi się udzieliło, gdy tak szedł ubrany w miękką marynarkę z tkaniny o bardzo grubej fakturze, flanelową koszulę i w dżinsy, trzymane na właściwym miejscu przez pasek i szelki. Grzegorz powoli, statecznie się oddalił i zniknął za zakrętem prowadzącym do głównej drogi. Poczułem nagle wtedy, że muszę jutro zmierzyć się z... no właśnie, z czym? I czemu pojawił się błysk o mierzeniu się z czymś? „Na razie – przekonywałem siebie – mam podjechać na uniwersytet, znaleźć profesora Grzegorza, wypić pewnie bardzo podłą herbatę i dostać do ręki gazetowe wydanie powieści, której tytułu już nie pamiętam, a nazwisko autora zupełnie dokądś uleciało, jakiś Feelingspower, nie wiem, nie wiem...”

Im bliżej byłem domu, im bardziej znajome robiły się leżące po obu stronach kamienie, teraz, w ciemnościach omywane prawie niewidocznymi słupkami światła gwiazd, przypominające jakieś dziwne, prehistoryczne zwierzęta, tym bardziej czułem się wewnętrznie podminowany. Z każdym krokiem narastało niezrozumiałe podniecenie. W końcu, gdy do ręki wskoczył mi pęczek z kluczami, gdy dolny zamek puścił, a wraz z nim drzwi, wylała się na mnie nieprzenikniona ciemność, gęsta i smolista, wtedy zacząłem się bać. Nieprzemierzony strach zmusił mnie do natychmiastowego zapalenia wszystkich świateł na drodze do sypialni. Z kąta wysunął się Wasyl, wielki rudy kocur, pogromca gryzoni i ptaków i mój jedyny w zasadzie przyjaciel. Poczuł, że coś jest nie tak, że coś wisi w powietrzu, więc najpierw w progu pokoju czekał cierpliwie, aż przygotuję łóżce, potem towarzyszył mi całą drogę w poszukiwaniu wyłączników świateł, wreszcie, gdy już dom został odcięty od rzeczywistości, a ja zaległem w łóżku, położył się obok mnie, swoje przednie wielkie łapska położył na mojej prawej ręce, włączył mruczenie i pomógł mi zasnąć.

Budziłem się w nocy. Kocisko spało w nogach łóżka, na każde moje przebudzenie podchodziło, kładło mi się na rękę, włączało mruczenie, ja znów zasypiałem. Rano zastałem w sypialni całkowicie

skotłowany koc i dywan, w salonie na dole przewrócony wazon, w kuchni rozsypane kocie żarcie i rozlaną wodę. Kocisko siedziało na progu i głośnym „mrau!” wymusiło na mnie, bym je wypuścił do ogródka. I rzeczywiście, natychmiast dało drapaką, ale w tym samym czasie do domu usiłował wejść piesek sąsiadów, kundelek, najbliższy towarzysz Wasyla w jego peregrynacjach po osiedlu. Psina wsadziła mordkę w drzwi, zrobiła trzy kroki na korytarz i gdy już dochodziła do salonu, nagle, jak rażona piorunem, obróciła się na tylnych łapkach i skowycząc w jakimś koszmarnym strachu, uciekła, mało nie rozbijając się o drzwi wejściowe. Jazgocząc na całe osiedle, biegła jeszcze kawałek, jej przeraźliwy pisk mieszany z wyciem umilkł, dopiero gdy dopadła rosnącej kępy krzewu, gdzie rokrocznie lelki kozodoje wiły gniazda i wyprowadzały młode. Jednym rzutem psina wsunęła swoje niezbyt urodziwe ciało do jamy, wygrzebanej pewnie przez lisa, w której już, prychając i parszkając, rozpychał się Wasyl, równie przestraszony jak ona. Po chwili leżeli obok siebie, grzejąc się nawzajem i drżąc synchronicznie. Co jakiś czas Wasyl parskał, kundelek przeraźliwie wył, a siedzące na krzaku lelki kozodoje podnosiły wrzask, który cichnął tak gwałtownie, jak się rozpoczynał.

Odnalezienie Grzegorza nie było trudne, ograniczyło się do trzymania się kilku strzałek, które bezbłędnie doprowadziły mnie przed drzwi z napisem: Katedra Kulturoznawstwa, Profesor Grzegorz, Profesor Barbara, Sekretariat. Po naciśnięciu klamki drzwi lekko ustąpiły, a znad sterty papierów podniosły się niebieskie, ogromne oczy i miłe dziewczę spytało piskliwym głosikiem, czego sobie życzy. Odpowiedziałem, że jestem umówiony.

- Tak, oczywiście, pan profesor uprzedzał, że pan będzie, ale proszę na chwilę usiąść, tam jest pan doktorant, niedługo będzie się bronił, a praca musi pójść do jeszcze jednej recenzji, pan rozumie? – Rozłożyła bezradnie ręce i wysłała śliczny, promienny uśmiech. – Pan rozumie... – Wróciła do swoich papierów.
- Aha, a może życzyłby sobie pan herbatę? – zapytała po dłuższej chwili milczenia, rozpulchnianego tylko cichym stukotem klawiszy komputera i szmerem przesuwanych obcasów jej szpilek.
- Owszem, chętnie! – Zaszło mi w ustach, nie wiem zresztą

czemu. Byłem gotów cokolwiek wypić, nawet spodziewaną lurę z torebki zalanej niedogotowaną wodą.

Po chwili przede mną stała śliczna cieniutka filiżanka, napełniona w połowie ciemnym, prawie czarnym naparem, unoszącym ze sobą woń, której nie sposób zapomnieć. Spróbowałem – smak herbaty był absolutnie adekwatny do nieprawdopodobnego zapachu. Nagabnięta na tę okoliczność sekretarka spąsowiała z dumy i powiedziała, trzymając elegancko identyczną filiżankę w długich, wąskich palcach, że sposobu parzenia herbaty nauczył ją pan profesor, który przywiózł metodę i sprzęt z Japonii, gdzie przez ponad rok przebywał na badaniach kulturoznawczych. To i ona teraz tylko powtarza, co jej pan profesor przekazał. Nie śmie nic zmienić, nawet odrobinkę, bo każda poprawka w rytuale natychmiast odbija się na smaku. Skończyła mi pokazywać, jak wyparza się czajniczek, gdy otworzyły się obite brązową dermą drzwi i wybiegł stamtąd zaaferowany, czerwony na twarzy młody człowiek, za którym wyleciał oprawiony w granatowe okładki wolumin formatu A4 i słowa Grzegorza. Nie sądziłem, że może być tak wściekły, wydawał mi się oazą spokoju:

- Jeśli do jutra nie dostanę konkretnie poprawionego rozdziału, zdejmuję pana doktorat z Rady Wydziału! Ach, to ty! – Rozpromienił się, widząc, jak zamarłem z filiżanką w dłoni. – Chodź, weź herbatę, ja też proszę! – rzucił do siedzącej sekretarki. – Mamy dużo do omówienia! – odprowadzał w tym czasie wzrokiem bazyliuszka młodego człowieka w okularach, który, zdawało się, że niewiele sobie robił z jego wściekłości, tylko spokojnie pakował stertę kartek do kolorowej reklamówki.
- Omówienia? – Dziwnie to zabrzmiało.
- Przepraszam, daruj nauczycielowi akademickiemu. My ciągle coś omawiamy lub nad czymś dyskutujemy. Ale ja ciebie nie wypuszczę tylko tak, z książką. Pani Małgosiu, czy powieliła pani tamtą książkę, jak prosiłem? Tak? To dobrze! Dostaniesz swoją własną kopię, ale ja też muszę ci kilka słów powiedzieć. Ile masz czasu?
- No nie wiem... – Popatrzyłem na zegarek. – Dwie, maksimum trzy godziny.

- Dobrze. Musi wystarczyć. No, nie stój tak, wejdz – powiedział z lekkim tonem zniecierpliwienia, jednocześnie biorąc mnie za łokieć i ciągnął ze sobą za obite dermą drzwi.

Po ponad dwóch godzinach wyszedłem od Grzegorza z bólem głowy. Nikt nigdy w tak krótkim czasie nie wyrócił na nice mojego rozumienia świata, jego części czy choćby okruchu. Szedłem do samochodu całkowicie wyłączony z rzeczywistości, potykając się o ludzi, kamienie, krawężniki, nawet jakaś kobieta zapytała, czy nie trzeba mi pomóc. Nie trzeba było. Trzeba mi było czasu, by spokojnie, systematycznie, krok za krokiem, dedukcją i indukcją, żelazną logiką poukładać to wszystko w sobie, albowiem to, co usłyszałem, zabiło wręcz moje pojmowanie rzeczywistości. Mojej rzeczywistości, przeze mnie zbudowanej i w pełni oswojonej. Wykształcony ściśle mózg bronił się przed tym rodzajem pojmowania, ale nie mógł mu do końca zaprzeczyć, nie był w stanie przeprowadzić ścisłego, matematycznego dowodu, że go nie ma. Ciągłe znajdowały się jakieś nieścisłości, niemożliwe do usunięcia nawet przez wprowadzenie uproszczeń, parametryzacji zmiennych czy wreszcie przez modyfikację aksjomatyki. Ten świat cały czas trwał! Potrząsany, drapany, podgryzany, naruszany, rozbijany, tłuczony, rzucony na ziemię ciągle istniał i nie miał zamiaru zniknąć. A ja miałem wrażenie, że cokolwiek bym zrobił, on będzie trwał, jakby kpiąc sobie ze mnie, niby to łobuzersko pokazując mi język.

Ruszyłem. Na skrzyżowaniu z główną ulicą o mało nie wjechałem pod wielkiego TIR-a. Moja wina, pogałem do siebie, całą drogę szukając odpowiedzi. Nie mogłem sobie jakoś wyobrazić, że istnieje jakiś inny świat, który tak naprawdę jest gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie (...świat, w którym baśń ta dzieje się – zaśpiewałem odruchowo i roześmiałem się z tego). Nie jest to świat równoległy, bo przenika się z naszym, nie jest to inny eon, bo obecny ciągle trwa, a liniowość i następstwo eonów to absolutne minimum, jakie trzeba założyć. Nie jest to również świat pozorny, bo informacja przenika między nimi. Może to jest jakiś tunel czasoprzestrzenny? Może to pozostałość po dawno już przez Wszechświat zwiniętych dodatkowych dwunastu wymiarach liniowych, w większości nieskończenie małych, ale jednak oddziałujących na naszą czasoprzestrzeń, czyniących w niej uchyłki i załamania, nie, zupełnie

niezwiązane z materią i polem grawitacyjnym, które jak wiadomo zakrzywia czasoprzestrzeń i potrafi ją zapętlić, nie, to zjawisko wyłamywało się znanej mi fizyce, ale ze wstydem muszę przyznać, że niewiele wiedziałem. Współczesna fizyka z mnogością jej teorii, będących wprost pokłosiem rozwiązań podstawowego równania Schrödingera oraz opisującego ogólną teorię względności równania Einsteina dawała pole do tworzenia nieskończonej liczby różnych założeń, często się wykluczających, co rusz świat był zaskakiwany jakąś nową zagadką, jarmark trwał w najlepsze. A przecież, pomimo zasady nieoznaczoności Heisenberga, dotyczącej tylko naszej percepcji, nie samego zjawiska, można zupełnie spokojnie przyjąć, że jest tylko jedno rozwiązanie, ponieważ funkcjonujemy w takim świecie, jaki jest! Gdyby parametry brzegowe były nieco inne, funkcjonowalibyśmy w innym, a gdyby fizyka była inna, nasz świat mógłby na przykład stać do góry nogami, cokolwiek by to miało znaczyć. Pomijając dość ostatnio głośną teorię, że czas nie jest pojęciem pierwotnym, co zresztą też wynika z doświadczeń, z ugięcia czasoprzestrzeni na dużych polach grawitacyjnych, że może być wynikiem naszych projekcji, bo dla każdego z nas płynie inaczej, bo w inercjalnych układach odniesienia płynie jednakowo, bo poza horyzontem zdarzeń nie płynie, bo w *Big Bangu* nie było takiego pojęcia jak czas, bo ruszył on dopiero po upływie 10^{-24} sekundy (ciekawy paradoks, nie było czasu, a po 10^{-24} ruszył, więc co było od 0 do 10^{-24}) więc wszystko, co nas otacza, może być wyłącznie wynikiem projekcji, może nie istnieć absolutnie, ale wtedy jaki byłby sens naszego istnienia?

Można śmiało postawić fundamentalną tezę, że istniejemy w jednym, ściśle określonym układzie równań fizycznych i że te równania mają jedno i tylko jedno rozwiązanie. A tu Grzegorz, spokojnie popijający drobnymi łykami herbatę, dowodził mi, że prócz uwarunkowań fizycznych funkcji istnienia są przecież jeszcze inne, choćby religijne, antropologiczne, ale również i kulturowe.

- Wyobraź sobie, że pewne jednostki kulturowe przenoszone są nie tylko w wyniku zakodowania ich za pomocą trudno zniszczalnych symboli: znaków, słów, rzeźb, malunków czy rysunków, ale również w formie przekazu ustnego. Okazywało się wielokrotnie, że gdy skonfrontowaliśmy przekazy ustne

z przekazami uzyskanymi na podstawie materialnych źródeł kultury, te pierwsze były tak bardzo precyzyjne, że stawały się zdecydowanie bardziej czytelne i w odróżnieniu od tych drugich były zrozumiałe dla nas od pierwszego w zasadzie z nimi kontaktu. Możesz przecież sobie wyobrazić, że aby zrozumieć, jak na przykład... skończyłeś maszyny i urządzenia rolnicze, dobrze słyszałem?

– Tak – odpowiedziałem zdumiony.

– Dobrze, załóżmy, że odkopujemy, znajdujemy, nieważne, coś, co wszyscy uznają za rodzaj stojaka na siano sprzed, powiedzmy, trzydziestu tysięcy lat. Dopiero długotrwałe badania przy użyciu spektrografów i tych waszych innych maszyn, których nawet nazw nie jestem w stanie wymówić, doprowadzają do wniosku, że to coś musiało mieć jakieś funkcje przy wzruszaniu ziemi. Nie wiemy, czy było to prymitywne radło, czy jakiś znacznik, żeby rośliny wzrastały równo. A może służyło do czegoś innego, nie wykluczając tego stojaka na siano, który z jakiegoś powodu został wbity w ziemię i tak pozostał. I widzisz, użyliśmy materialnego artefaktu kulturowego, przeprowadziliśmy badania, dokładne, rzetelne, a nadal tylko z jakimś prawdopodobieństwem możemy stwierdzić, że to urządzenie do czegoś w rolnictwie służyło. Zawęzić zastosowanie może dopiero przekaz ujednoznaczniający, na przykład w formie malowidła, pisemnej lub ustnej...

Nie wiem, czy dokładnie pamiętam to, co tu przekazuję. Pierwszy raz miałem do czynienia z kulturoznawstwem, mogę coś tu pomylić. Ale zapamiętałem jedno: przekaz ustny jest równie poważnym nośnikiem informacji jak to, co Grzegorz nazywał: „artefaktami kulturowymi” i musi być traktowany poważnie, choćby nie wiem jak absurdalny się na pierwszy rzut oka wydawał. I tu przeszedł do istoty spotkania.

– Pamiętasz naszą rozmowę? Powiedziałem ci, że dam ci dziś oryginalny *Zew Cthulhu* Lovecrafta bez zmian korektorskich, edycyjnych, tej obrzydliwej, ordynarnej cenzury dokonanej w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku podczas jego pierwszego wydania. Ale samo przekazanie go nie wymagałoby twojej obecności. Wystarczyłoby, gdybym ci wysłał ją na

dowolny adres w postaci skserowanej czy zeskanowanej. Ty byś ją przeczytał lub nie, ale najprawdopodobniej po kilku dniach zupełnie byś o niej zapomniał, a nie o to tu chodzi.

Nie o to tu chodzi... Zdziwiły mnie jego słowa. Zdziwiły i natchmiast nakazały wzmożoną czujność. Przyjechałem dziś do niego dlatego, że mnie zaintrygował. Zaciekawiła mnie ta powieść (zbiór opowiadań?) amerykańskiego pisarza z kręgu fantasy, a może horror? Niewiele mogłem wywnioskować z informacji, które są ogólnie dostępne, o przestrzeniach, po których się poruszał. Nieważne. Facet swoimi opowiadaniem wywołał niemałą histerię, świat oszalał na punkcie poszukiwania *Cthulhu*. Wyznawcy produktu chorej wyobraźni Lovecrafta zaczęli prześcigać się we wskazywaniu widocznych, materialnych dowodów istnienia Starego Bóstwa zza Wielkich Kolumn. Wydawało mi się to jakąś zbiorową histerią, te sięgające nieskończoności kolumny, nieogarnięte wzrokiem sale, ten śluz i zielony szlam, te niesione rzeką trupy jakichś przedziwnych stworów z pancerzami na grzbietach, ta Czarna Koza z Lasu z tysiącem młodych... Jawiło mi się to wszystko jakimś absurdem, majaczeniem, ściągnąłem więc polskie tłumaczenie, owszem, ciekawe, nawet momentami sugestywne, chwilami nawet podnoszące włosy na grzbiecie, ale tylko takie. Opowiadanie, jakich wiele, pisane dość szorstkim, mało finezyjnym językiem, trącające anachronizmem, szczególnie w świetle odkryć fizyki, chemii, astronomii.

To, że Lovecraft operował takim aparatem pojęciowym, jaki znał, to było oczywiste, ale przecież był dzieckiem czasów przełomu w fizyce! Żył równolegle z Einsteinem i Schrödingerem, wydawać więc się mogło, że powinien, szczególnie że ponoć był bardzo uzdolniony właśnie w fizyce, przynajmniej zająknąć się o czasoprzestrzeni, o jej zaginaniu się przy dużych polach grawitacyjnych, o choćby okrucach teorii względności, dowolnej, szczególnej czy ogólnej. Nie, sprawiał wrażenie, jakby rozrywające świat w tamtym okresie odkrycia, produkty wtedy jeszcze wyłącznie projekcji myślowych, były mu zupełnie obce i nieznanne. Ale nie! Nagle pojawiło się słowo: „eon”, którego nie rozumiałem! Czułem intuicyjnie, że musi to być jakiś zamknięty, skończony okres, do którego nie mamy dostępu. I rzeczywiście, Wszechświat od *Big Bangu* po kres ewolucje w czasie jednego eonu, zapada się w siebie, znów jest *Big Bang*

i otwiera się kolejny eon. Raziła mnie więc ubogość nierozumienia rzeczywistości, ograniczająca się do tego jednego, jedyne go pojęcia. Podzieliłem się swoimi wątpliwościami z Grzegorzem, on zamyślił się przez chwilę:

- Możesz mieć rację! – powiedział, machinalnie kartkując jakiś tom, oprawiony u introligatora. – To może być celowe albo jest to widoczny znak niedostatku umysłowego. Trudno mi się z tym obecnie zmierzyć – dodał, poprawiając leżące na biurku luźne kartki – ale nie o tym chciałem ci dziś powiedzieć.
- Grzegorz, zanim zaczniesz, czemu akurat ja? Z twoim tytułem i pozycją w Polsce możesz przebierać w chętnych do wspólnych badań, przeszukiwania nowych przestrzeni jak, przepraszam za eufemizm, w ulęgałkach, w ludziach dużo ode mnie mądrzejszych, lepiej wykształconych, mówiących twoim językiem.
- Nie wiem! – odpowiedział, patrząc gdzieś daleko w nieskończony punkt na horyzoncie. – To był impuls, intuicja, przecucie... Możesz mieć rację, mogłem się pomylić w wyborze...
- Impuls, intuicja, przecucie... Ja wolę logikę, ścisłość. Indukcję i dedukcję.
- Ja też. Ale wczoraj... No właśnie nie wiem...
- Jak na razie, przyznam ci się, staram się jakoś wysiedzieć, wytrzymać, nie wyjść. Może dlatego, że masz przednią, zupełnie wyjątkową herbatę, a trochę jej jeszcze zostało. Cedzisz coś przez zęby, mówisz, nic nie mówiąc, nie przystoi to dyskusji, nie przystoi to tytułowi, który widziałem na tabliczce.
- No właśnie... – westchnął ciężko. – Dobrze, powiem ci, co się dzieje. Wybór ciebie nie jest przypadkiem.
- Ciekawe... Trudno mi w to uwierzyć. – Wypiłem ostatni łyk i odstawiłem filiżankę na jego biurko, niemiłosiernie zawalone papierami. Musiałem poruszyć coś, co wywołało w nim odruch obronny, chciał łapać za przesuwane kartki, otwarte gazety, chyba nawet miał ochotę wstać i nakryć rękoma całe biurko, ale się opanował. Mocniej, pewniej usiadł, z godnością podniósł rękę, oparł łokcie na blacie, splótł palce na wysokości klatki,

podniósł głowę, ale nadal milczał.

- Ja chyba jednak pójdę! – powiedziałem po chwili, w której nic się nie zdarzyło. – Dziękuję za herbatę, do zobaczenia...
 - Zostań – padło zza biurka, spokojne, ale nadal dość niepewne. Grzegorz podniósł ręce do góry, jakby miał zamiar wezwać jakieś obce siły na pomoc. Zaintrygowało mnie falowanie jego potrzeby mojej obecności, od niechęci po absolutną konieczność. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim poziomem ambiwalencji, nigdy nie doświadczyłem takich stanów dwubiegunowych, bo przecież jego falowanie jako żywo przypominało pewien rodzaj choroby psychicznej. Uzbrojony w minimalną wiedzę na ich temat przyłożyłem doświadczenie, naukę, logikę i stwierdziłem, że nie widziałem spustu tejże. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogło się zdarzyć, by spowodować nagłe pęknięcie tamy i szaleństwo w konfrontacji dwóch zupełnie różnych stanów, wzajemnie się wykluczających.
 - Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że natychmiast wyjaśnisz mi, po co tutaj dziś jestem! – Usiadłem z powrotem na krześle.
 - To nie takie proste... – powiedział, znowu zaplatając ręce i zbliżając je do własnej głowy. Typowy gest obronny połączony z niechęcią do otwarcia się. Z pozycji euforii przeszedł do pozycji depresji.
 - Nie, nie zostanę, nie mam czasu na takie podchody, mam swoje... – rzuciłem w końcu. Nie byłem tu po to, by prowadzić doświadczenia z zachowań afektywno-dwubiegunowych. Nie znam się na nich, nie mam doświadczenia, nie mam szkół, nie mam prawa tego robić. Zupełnie już zapomniałem, po co w ogóle tu byłem.
- Doświadczyłem *Cthulhu*, dokładniej jednego z jego emanacji.
- Nie ma czegoś takiego jak *Cthulhu*! – powiedziałem, wkładając do kieszeni trzymanego w rękę smartfona i jednocześnie wyjmując z drugiej z kieszeni klucze od samochodu. – Ja nie mam dziś czasu na wysłuchiwanie, przepraszam cię bardzo, uczonych, profesorskich dywagacji w przedmiocie, który zupełnie mnie nie interesuje.

- Jeśli odrzucisz wszystkie uprzedzenia i jeśli odrzucisz wszystkie racjonalne, choć nieprawdziwe wyjaśnienia, to to, które pozostaje, które nie jest uprzedzeniem, ale jest choćby nie wiem jak nieracjonalne, jest prawdziwe.
- Tak, znam, to Sherlock Holmes! – rzuciłem jeszcze w jego kierunku, starannie zamykając za sobą drzwi.

W sekretariacie dziewczyna o piskliwym głosiku życzyła mi dobrego dnia, zapraszała, ilekroć będę, żebym zaszedł, pewnie pan profesor bardzo się ucieszy. Drzwi od pokoju Grzegorza pozostały zamknięte. Pomyślałem sobie, że pewnie próbował mnie w coś wkręcić, ostatnio znów modne stało się robienie ludziom wody z mózgu na ołtarzu wielkich słów, fundamentalnych zasad i podstawowych pojęć. Nie miałem na to ochoty. Otaczający mnie ze wszystkich stron bełkot wywołał we mnie chęć, potrzebę, konieczność emigracji do wnętrza siebie. Przestałem komukolwiek dowierzać! Ten straszliwy, niebezpieczny bełkot próbował wciskać się wszelkimi kanałami, wizualnie, fonicznie, przez podświadomość. Wywoływał we mnie uczucie, że ciągle jestem przez kogoś manipulowany, kręcony, ustawiany według jego potrzeb, kompletnie niekoherentnych z moimi. Ciągle miałbym coś kupować, za czymś się opowiadać, myśleć jak oni, nie, nie, nie... „Dlaczego – myślałem, idąc do samochodu – to akurat ja miałbym konfirmować brednie, które oni próbują we mnie wcisnąć przez śliczne długonogie dzierlatki, wylewające się z każdego napotkanego kawałka papieru? Czemu to akurat ja miałbym być tym docelowym, jedynym obiektem, do którego uśmiecha się idealnymi zębami, wyczyszczonymi do śnieżnej białości za pomocą *Photoshopa* biuściasta brunetka? Czemu to mi ma przypaść szczęście, o którym uśmiecha się, pokazując migdałki, lalunia w minimalnych majteczkach i jeszcze mniejszym staniku, za to na obcasach długich na siedemnaście centymetrów, o nierealnym, idealnym ciele, bez najmniejszej nawet rysy czy zadrapania?”

Zdążyłem wsiąść do samochodu, zapiąć pasy, przekręcić klucz, gdy usłyszałem znajome „Bum, bum, bum!” Samochód oznajmiał mi, że ktoś chce się do mnie dodzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się nieznanym numer, zupełnie mi nic niemówiący. Świadomie nie pamiętam ich wszystkich, ale zawsze coś mi mówi, że ten numer

już kiedyś widziałem. I to coś ewidentnie mówiło, że tym razem nie. Nie odbieram takich telefonów, w ogromnej większości przypadków otwiera się kolejny kanał do wciskania mi zmysłowym głosem kolejnego kitu, ale tu, gnany jakimś impulsem, wcisnąłem przycisk na kierownicy:

- Słucham!
- Dzień dobry panu, mówi Radio... – Tu nie zrozumiałem jakie, ale domyśliłem się, że jest to jeden z dziesiątków konkurujących ze sobą komercyjnych ścieków reklam. – Czy wyraża pan zgodę na przeprowadzenie krótkiej rozmowy?
- Ze mną? – zdziwiłem się. – Ja nie jestem żadnym waszym targe-tem, nie słucham was, kompletnie nie interesuje mnie, czy znana modelka ma majtki w kolorze rózu i czy dziś już defekowała...
- Tym bardziej chcielibyśmy z panem porozmawiać – powiedział miły kobiecy głos bez cienia minoderii czy zmysłowości. Ładnie powiedziane, spokojnie...
- O czym? – Postanowiłem odrobinę zaryzykować, choć rezultat wydawał mi się z góry przesądzony. Ale jazda samochodem nie należy do najbardziej frapujących zajęć.
- O pana stosunku do zjawisk paranormalnych.
- Hmm... Skąd macie państwo mój numer?
- Wylosował się! – powiedziała kobieta. Zwykły tekst, kłamstwo oczywiste, ale tym razem to zabrzmiało jakoś tak, że uwierzyłem. Była nadal spokojna, rozmawiała ze mną poważnie, nie słyszałem radosnego tralalala, które odrzuca mnie od wszystkich właściwie stacji radiowych, ta radość bijąca z głosów prezenterów jest jak uśmiech na twarzy chorego psychicznie wujka w filmie *Amacord* Felliniego, gdy odkrył, że koło się obraca.
- Czy to będzie szło na antenie na żywo?
- Tak – odpowiedziała nadal bardzo spokojnie kobieta. Pomyślałem, że chyba jednak mógłbym jej zaufać.
- No dobrze! – W końcu sam sobie się dziwiąc, wyrzuciłem te słowa. – Niech pani pyta.

- Proszę chwilę poczekać, rozumiem, że nie słucha pan naszej stacji?
- Nie, akurat jestem w samochodzie, mam włączoną muzykę z płyty. Ale i tak, jeśli rozmawiam przez telefon, automatycznie odtwarzacz się zatrzymuje.
- Dobrze, już zaczynamy, za chwilę ktoś się do pana odezwie, proszę się nie rozłączać... – W samochodzie zapadła cisza, szumiał tylko silnik, skrzypiały pasy, gdy myślałem, że to chyba była jednak jakaś bajka, podpucha, nagle wystrzelił męski, mocny baryton, szkolony...
- Dzień dobry państwu. Dziś, jak obiecałem w ubiegłym tygodniu, porozmawiamy o zjawiskach niezwykłych, czyli takich, które wymykają się naszej rzeczywistej ocenie, gdzie wyczerpaliśmy już w zasadzie możliwości współczesnej fizyki, gdzie zaczynamy już poruszać się po polach spekulatywnych. Oczywiście nie będziemy rozmawiać o strefie pięćdziesiąt jeden w USA, bo tam akurat bardzo wiele wskazuje, że rząd USA po prostu ukrywa tajne doświadczenia z jakimiś rodzajami broni. Nie będziemy się zastanawiać, w jaki sposób Egipcjanie zbudowali Wielkie Piramidy w Gizie, bo pomimo całej ułomności niektóre z teorii wydają się całkiem prawdopodobne. Nie będziemy również zastanawiać się nad postaciami na Płaskowyżu Nazca, bo zupełnie dobrze tłumaczy się je doskonale rozwiniętymi umiejętnościami geodezyjnymi tamtych ludów, proszę więc państwa o niepodnoszenie tych zagadnień. Chciałbym, byśmy rozmawiali o pozazmysłowych kontaktach, o legendach, o starych bóstwach, o snach i ich znaczeniu w postrzeganiu rzeczywistości, o prekognicji, czyli o przewidywaniu przyszłości. Moim i państwa gościem jest pan doktor... – tu ku memu własnemu, najwyższemu zdumieniu padło moje imię i nazwisko – badacz kultu *Cthulhu*, jeden z największych autorytetów w tej dziedzinie na świecie. Dzień dobry, panie doktorze!

O mało nie wjechałem w ogrodzoną grubym, stalowym płótem wysepkę. Odbiłem w prawo, na szczęście nikogo nie było, zjechałem na przydrożny parking pod jakimś supermarketem, zatrzymałem auto...

– Panie doktorze, czy my się słyszymy?

Chciałem krzyknąć, że nie jestem żadnym znawcą wczoraj poznanego, za duże słowo, wczoraj pierwszy raz na oczy zobaczonego kultu, ale z moich ust wysunęło się tylko:

– Tak, słyszymy...

– Muszę państwu powiedzieć, że pan doktor jest rozchwytywany na całym świecie. Jego badania tego przedziwnego zjawiska są tak pionierskie, tak odkrywcze, że niesłychanie trudno się z nim skontaktować. Nam się udało, ale akurat pan doktor jest w samochodzie, zmierza na lotnisko i ma dla nas tylko dziesięć minut. Panie doktorze, czy już możemy?

I zamiast najzwyczajniej w świecie odłożyć słuchawkę, wydukałem w przestrzeń samochodu:

– Tak.

To, że wydukałem, to jedno. Zawsze i każdemu może się coś nieopatrnie wysunąć. Ale tu akurat moje „tak” było spokojne, rzeczowe, tak jakbym był doskonale do tej rozmowy przygotowany. I tak to odebrał redaktor, więc szybko podkręcił tempo:

– Dobrze, panie doktorze! Nie chcemy dziś rozmawiać o kulcie *Cthulhu*, myślę, że zainteresowanych mogę odesłać do bardzo szerokiej już literatury, w tym kilkunastu pozycji naszego gościa. Spróbujmy zacząć od czegoś innego. Czym są zjawiska parafizyczne?

– Zadaje mi pan pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć. I obawiam się, że nikt na świecie nie będzie umiał wystarczająco celnie i zwięźle go wyczerpać – usłyszałem w samochodzie swój głos, ale nie były to moje słowa. Ja przysłuchiwałem się komuś, nie wiem zupełnie komu, mówiącemu moją, bardzo zresztą charakterystyczną, barwą wysokiego tenora, używającego słów, których ja używam, a kto mówi o czymś, o czym ja, akurat właśnie ja, nie mam zielonego pojęcia.

– Ale choć spróbujmy przybliżyć, dobrze?

– Dobrze! – Czyżbym doznał rozdwojenia jaźni? Czyżbym doznał swoistej bilokacji? A co gorsze, a najbardziej prawdziwe:

czyżbym i ja dołączył do grona osób chorych na schizofrenię?
 – Zjawiska parafizyczne to te, których na bazie współczesnej fizyki wyjaśnić się po prostu nie da. Oczywiście, na bazie nam znanej fizyki!

Znów usłyszałem własny głos. Ale ponieważ go usłyszałem jakby z zewnątrz, jakby ktoś koło mnie siedział i mówił do mikrofonu, pomyślałem, że być może jednak jakaś forma świadomej materii niebarionowej istnieje! Przecież ten drugi był koło mnie! Mówił, a nie widziałem go, nie czułem, ale w słuchawce go słyszałem. Miałem dwa wyjścia: albo przyzwyczać się do tej sytuacji, dla mnie niezwyklej, być może inni podlegali często takim zjawiskom, mnie ono dotknęło pierwszy raz w życiu, albo zgasić silnik, wyjść i zostawić ich... Ich, czyli kogo? Była trzecia możliwość, ale z jakiegoś powodu nie brałem jej pod uwagę: wyłączyć telefon. Po chwili, gdy chyba już trochę się oswoiłem z tą schizofreniczną rzeczywistością, pomyślałem, że warto zobaczyć, co takiego się będzie dalej dziać. Bo cóż dziwniejszego mogło się jeszcze zdarzyć?

- Na przykład takim zjawiskiem parafizycznym jest prekognicja?
- Tutaj mam poważne wątpliwości – usłyszałem swój głos. Usiadłem wygodnie, kilka razy poprawiłem się w fotelu, zaczęła mnie to wciągać. – Wystarczy, że uznamy, że nasza cała rzeczywistość widziana w skali makro nie jest ciągła, a składa się z kwantów rzeczywistości, odrębnie doświadczanych przez każdego z nas, a więc, że nie ma dwóch jednakowych rzeczywistości, to wtedy nie ma żadnych podstaw uznać, że kierunek czasu, w którym obecnie się poruszamy, jest jakimś uprzywilejowanym. Nie, można przecież wyobrazić sobie, że żyjemy jednocześnie w ogromnej liczbie, uwaga, ogromnej, ale skończonej, równoległych rzeczywistości rozpiętych na osi czasu, więc skoki po niej w dowolnym kierunku wydają się całkowicie możliwe.
- To co w takim razie byłoby tym zjawiskiem parafizycznym?
- Na przykład bilokacja. Nie bardzo bowiem potrafię sobie wyobrazić jednoczesne funkcjonowanie jednego bytu w dwóch różnych przestrzeniach. Ale chcę być dobrze rozumiany:

Jednoczesne istnienie tego samego bytu (głos bardzo mocno podkreślił ostatnie trzy słowa) w dwóch różnych przestrzeniach jednocześnie.

- Ale sam pan wie, że jednoczasowość...
- Oczywiście, ma pan rację. Odbieramy przecież informacje na przykład z Proximy Centauri i to, co uznajemy, że dzieje się teraz, tam odbyło się cztery lata temu. Oczywiście jeśli uznamy, że oceniamy informację, która przyszła stamtąd do nas, a nie to, co w danym momencie, w momencie naszej obserwacji, tam się dzieje. Stąd o jednoczasowości możemy mówić tylko w przypadku jednego świadomego bytu, dwa świadome byty przebywają w dwóch różnych własnych czasoprzestrzeniach, więc z samej istoty różnych czasoprzestrzeni wynika brak jednoczasowości.
- Dwie osoby, świadome, przebywają jednocześnie w różnych czasoprzestrzeniach?
- Tak, proszę się chwilę zastanowić. Jeśli za podstawowy parametr opisujący jednoczasowość przyjmujemy możliwość przekazania sobie informacji o niej, to choćby dwa byty, nie osoby, tak będzie lepiej określać, były nie wiadomo jak blisko od siebie, czas przepływu informacji jest skończony, więc i obie czasoprzestrzenie nie są tożsame. Inaczej: jeżeli oddzielimy czas od informacji, to można mówić o jednoczasowości, ale pod warunkiem, że informację o zdarzeniach w trakcie jednoczasowości uzyskujemy nie w czasie rzeczywistym, a z pewnym opóźnieniem.
- Ale przecież znane są przypadki jednoczasowej bilokacji, a nawet trilokacji!
- No właśnie! I to wrywa nam się z opisu fizycznego, stając się zjawiskiem parafizycznym.
- Jak dużo było takich przypadków?
- Prawidłowo udokumentowane, z krytyczną ich analizą, znamy zaledwie dwie bilokacje i jedną trilokację.
- Takim najbardziej znanym był ojciec Pio!

- No właśnie nie! Musimy odróżnić rzeczywistą polilokację od tego, co się komuś wydawało. W przypadku Ojca Pio, przy całym ogromnym szacunku, jaki mam dla tego zakonnika, nie została udowodniona polilokacja, mimo że można było to zrobić w bardzo prosty sposób. Tę pozorną w rzeczywistości bilokację tłumaczymy zbiorową histerią, być może jakimś nagłym zaburzeniem pola grawitacyjnego. Ale nie doszło wtedy, z całą pewnością nie doszło, do polilokacji. Nie można bowiem jednoznacznie określić, kim był ten drugi.
- Trochę nie bardzo rozumiem, czego nie możemy określić?
- Musimy próbować nadawać zjawiskom jakieś cechy, które będą oddzielać parafizyczność od zwykłej hochsztaplerki lub zbiorowej halucynacji. Otóż w przypadku polilokacji przyjmujemy, że taka miała miejsce, gdy obie, nie tylko obie: trzy, cztery, więcej, emanacje tej samej osoby zostawią materialny ślad swojej bytności, a takie pozostawiły obiekty w tych trzech prawidłowo udokumentowanych, krytycznie ocenionych przypadkach.
- Czyli co? Rzucony papierek, przewrócony kosz?
- Dobrze by było, ale czasem musi wystarczyć ślad na piasku, odrobina DNA pozostawiona na czymkolwiek, dwa słowa zamienione z przechodniem, zdjęcie, takie coś. Wszystko, co jest artefaktem, materialnym, nie tylko ludzką opowieścią.
- Ale sam pan mówił, że wystarczą dwa słowa zamienione z przechodniem...
- No właśnie tu mamy wątpliwości. Słowa nie są artefaktem materialnym, chyba że nagrane na trwałym nośniku i ponad wszelką wątpliwość niezmanipulowane. Wymagać jednak od każdego człowieka, by stale posiadał przy sobie urządzenie nagrywające i tak na wszelki wypadek nagrywał każdą rozmowę, którą prowadził, bo może być ona materialnym śladem bilokacji, byłoby absurdem.
- Czyli przypadek?
- Tak, również przypadek, czyli jak sam pan widzi, całkowicie nienaukowa metoda. Nie można zdać się na to, że nagle ktoś na

świecie nie dość, że napotka nieznaną sobie, bilokowaną osobę, to jeszcze ją nagra. Prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest niemożliwe do oszacowania, bo przede wszystkim zupełnie nie wiemy, jakie jest prawdopodobieństwo polilokacji. Ale już rozmowa, którą obserwowali świadkowie, dokładny, precyzyjny jej przekaz, z ich zeznaniami, być może nagranie samego faktu rozmowy z kamer ulicznych, a być może jeszcze inne, potwierdzające jej istnienie dowody, choćby jednoznaczny opis rozmawiającego, choćby jakieś znaki szczególne, swoiste dla danego miejsca i czasu, to już tak! To już można rozważać metodami naukowymi.

- Proszę powiedzieć, wróć jednak do przerwanej myśli, czemu tak małe znaczenie przywiązujecie do przekazu ustnego. Przecież kulturoznawcy twierdzą, że jest to równorzędny rodzaj udowodnienia, uzasadnienia występowania lub niewystępowania danego zjawiska.
- Widzi pan, my i kulturoznawcy poruszamy się po trochę innych polach. Oni mogą sobie pozwolić na zrównanie w metodzie opisu przekazu ustnego z artefaktami materialnymi, bo ich badania wykazują, że jest on w przestrzeni kultury, oczywiście szeroko rozumianej, zgodny w ponad siedemdziesięciu pięciu procentach z przekazem za pomocą samych artefaktów. W badaniach zjawisk parafizycznych ta zgodność rzadko przekracza pięć procent! Ludzie postawieni przed czymś, z czym spotykają się po raz pierwszy, i to coś ucieka poza przestrzeń ich zwykłego rozumowania, nadają tym zdarzeniom, tym zjawiskom cechy, których one w ogromnej liczbie przypadków zwyczajnie nie miały. I trudno się dziwić, nie mają ich z czym porównać. Brak paradygmatu, wzorca, zawsze powoduje spekulacje w kierunku paranormalności. Tak bowiem jesteśmy skonstruowani, że najpierw nadajemy nowym, kompletnie nieznanym zjawiskom cechy boskie, nadnaturalne, pozazmysłowe, dopiero później próbujemy je jakoś racjonalnie zrozumieć, poznaniem, przez dotyk, zapach, smak, opis koloru, kształtu, w końcu przez próbę wykoncypowania, jak to działa. Szczególnie mocno to widać w skali makro, tej naszej, codziennej. Fizycy, którzy

jako jedyni pracują w skali atomowej i mniejszej, tropiąc, na przykład, cząstki elementarne czy przejawy pola Higgsa, zawsze najpierw próbują, co im się zresztą jak na razie doskonale udaje, objąć problem w kategoriach poznania, rzeczywistości, w kategoriach... Nie bałbym się ująć tego... ontologicznych. Natomiast wszelkie niewytłumaczalne obecnie zjawiska w skali makro najczęściej trafiają na ludzi do tego nieprzygotowanych, nieobytych z różnymi łamaniami symetrii, lagranżjanami, polami wektorowymi, geometriami nieeuklidesowymi, rachunkiem tensorowym... W zderzeniu z nimi ci ludzie nawet nie przypuszczają, że może istnieć coś takiego jak splątanie kwantowe, więc pierwszy pomysł, jaki przychodzi im do głowy to albo Bóg, albo, u tych słabiej wierzących, zjawiska paranormalne, nazywane parafizycznymi.

- I tu wkraczacie wy, specjaliści?
- Wkraczacie to za duże słowo, panie redaktorze. Starając się przyłożyć znane nam mniej lub bardziej prawa i zasady fizyki, weryfikujemy je, próbujemy jakoś klasyfikować i jakoś rozumieć. I przyznam, że zdecydowanie więcej nie rozumiemy, dokładniej rzecz biorąc: prawie wszystko wymyka się nam poza racjonalny, rzeczowy opis.
- Czyli, tak mi się wydaje, trzeba by skonstruować nową naukę o własnej metodzie, własnym aparacie pojęciowym, własnej aksjomatyce?
- No właśnie nie. Stworzenie odrębnej wiedzy z jej własną choćby metodą naukową, zawsze będzie w tej akurat dziedzinie postrzegane jako szarlataneria. Znany jest słynny paradoks, że w wyniku rozwiązywania układów równań różniczkowych cząstkowych przez pewne działania równie dobrze możemy dojść do wniosku, że nasz świat istnieje obiektywnie, jak i do tego, że go obiektywnie nie ma. Ale jest to wszystko w ramach obecnej fizyki, w ramach zaakceptowanej przez świat metody, w ramach dopuszczalnej iluminacji i koniecznego później dyskursu...
- To czemu tego nie zastosować do nowej dziedziny?
- A po co? Różne dziwne, przedziwne konstrukty myślowe

powstają w głowach fizyków, świetnie wykształconych, cały czas czujnych na rozwiązania innych, cały czas na tyle czujnych, by poddać je krytycznej analizie, cały czas szukających swojego pomysłu na rzeczywistość. Pojawienie się nowej nauki, z całą pewnością bazującej na osiągnięciach współczesnej fizyki i co do przedmiotu, i co do metody, byłoby jej dublowaniem, nieudolnym i potwornie ograniczonym, ponieważ, tak mi się wydaje, choć mogę się przecież mylić, poruszałibyśmy się po świecie takich zjawisk, które prócz naturalnie wywołujących ciekawość badacza wykształconego, dokładnego, sumiennego, powodowałyby niezdrową, kreującą ciekawość prostego, nieprzygotowanego na to człowieka, a więc takiego, który najtrudniejsze problemy sprowadziłyby do poziomu „jest Bóg” lub „przylecieli kosmici”. I proszę mnie dobrze zrozumieć, ja nie mam nic przeciw ciekawości ludzkiej, nawet tej obejmującej kwantową teorię pola, ale tu trzeba długich studiów, ogromnej wiedzy i niesłychanej, pietycznej wręcz wobec niej pokory, żeby zacząć się po tych przestrzeniach jakoś poruszać, najczęściej jak dzieci we mgle...

- Chyba pan trochę przesadza, panie doktorze, ale... mamy telefon od słuchacza. Tak, proszę mówić.
- Dzień dobry, chciałbym odnieść się do metody kulturoznawczej! – Z głośnika doleciał mnie jakiś znajomy głos, którego za diabła nie mogłem skojarzyć. – Właśnie jestem kulturoznawcą, który bada pewien mit, stare bóstwo, które zamieszkuje wielki podwodny pałac z nieskończonymi kolumnami...
- Ma pan na myśli *Cthulhu*?
- Tak, ale nie o tym chciałem powiedzieć. Całkowicie się zgadzam z panem doktorem, że metoda kulturoznawcza i fizyczna to zupełnie inne dziedziny, ale nam, mojemu zespołowi było dane odkryć...

Nie słuchałem dalej. Nagle zrozumiałem, że z głośnika przemawia do mnie Grzegorz. Nie do mnie, do tego drugiego, który od dłuższej chwili również milczał.

- ...i w ten sposób doszliśmy do konkluzji, że w tych

akurat tabliczkach przemyczone zostały informacje o przestrzeni Higgsa, mogę się mylić... Chodzi o ten rodzaj pola, gdzie na przykład elektron w wyniku swoistego rodzaju tarcia o nie nabiera masy! Do dziś trudno nam w to uwierzyć! Jest coś przedziwnego w tym zjawisku kulturowym! Jest ono jednym z wielu pól moich zainteresowań, najczęściej, przepraszam za porównanie, leży odłogiem, bo nic ciekawego się wokół niego nie dzieje, ale jak już zostaje na nowo ruszone, to absorbuje mnie całkowicie, jakby było zazdrosne o mój czas! Przedwczoraj dostałem nowy artykuł, świetny. Jeśli potwierdzi się to, co w nim jest, będziemy mieli do czynienia z przełomem. Wczoraj, zupełnie niezależnie od artykułu, odbyłem bardzo interesującą rozmowę z pewnym naukowcem, dziś była jej kontynuacja. Mam wrażenie, że zainteresowanie tabliczkami łączącymi w sobie cechy współczesnej fizyki i przedziwnego kultu podzielam w Polsce nie tylko ja. Bardzo dużo obiecuję sobie po tej nowej znajomości. Teraz nagle temat podjęliście państwo, których stacji słucham niesłychanie rzadko, ale dziś akurat tu właśnie odruchowo przełączyłem i z ciekawością słuchałem wywodu pana doktora, już pchającego mnie w nieco inne tereny badawcze, o których wcześniej nawet nie myślałem. Przedziwne! Do usłyszenia! – Odłożył słuchawkę.

- Dziękujemy panu, ale i dziękujemy państwu, nasza audycja dobiegła dziś końca. Zapraszam za tydzień, spróbujemy podjąć temat: Czy życie w formie biologicznej jest najlepszym jego przejawem?



*SMAK HERBATY BYŁ ABSOLUTNIE
ADEKWATNY DO NIEPRAWDOPODOBNEGO
ZAPACHU.*

